



W MIESZCZANSKIM GNIEZDZIE.

WANDA GROT-BĘCZKOWSKA.



W mieszczańskim gnieździe

POWIEŚĆ.

TOM II.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899

71620/1-2
Kłocce



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 9 Июня 1899 года.

I.

Dwunastego marca ujrzała światło dzienne panna Pistuła Pistulińska.

Była to brzydka, osóbką lilipucich rozmiarów. czerwona, jak rak i krzykliwa niezmiernie.

Sabina pragnęła i spodziewała się syna, bo tego pragnął i Sewer, więc gdy jej oznajmiono, iż urodziła się córka, wybuchnęła płaczem.

Pistuliński zajrzawszy do kołyski, bąknął niezadowolony:

— Jakież to brzydactwo!

— Wyrośnie proszę pana—odezwała się dozorczyń.

Seweryn zerknął na nią z ukosa.

Wydała mu się śliczną. W dusznej atmosferze zaciemnionego pokoju sprawiała wrażenie świeżo rozkwitłego kwiatu.

339 265

10,-

3/34/2012 p

— Wyrośnie? Chyba jeśli żona zapatrzyła się na panią—zartował. Radbym był, słowo daję.

Sabina drżącymi rękoma szarpała kołdrę. Męką było dla niej patrzeć na tych dwoje młodych, zdrowych i dorodnych.

Z rozkoszą wpiłaby paznogie w jędrne, rumiane policzki dozorczyńni i targala bujne jej włosy.

Chcąc uwagę męża od niej odwrócić, zagadnęła:

— Maleńka nasza do ciebie podobna, Sewerku. Spokojne dziecko, nieprawdaż?

Seweryn siadł przy łóżku żony.

Jakże mu się brzydką i postarzałą wydała.

Nie zastanawiając się, czyli jej to przyjemnym będzie, odezwał się szczerze:

— Jak ty wyglądasz, Sabciul Biedneście wy, kobiety!

Blade wargi chorej drgnęły.

— Wszyscy chorzy źle wyglądają... szepnęła.— Ty nie wiesz, Sewerku, com ja wycierpiała!

— Bójże się Boga, tylko mi oszczędź szczegółów—rzekł, podnosząc się z krzesła.

— Po co przypominać. Pani Drobińska—zwrócił się do dozorczyńni, wypijemy po kieliszku węgryna za zdrowie nowonarodzonej. Proszę panią z sobą.

— Możebyście tu wypili? — wtrąciła nieśmiało Sabina.

— El! Tu czuć aptekę, roześmiał się Seweryn.

Dotknął ustami czoła żony i wyszedł, zapraszając gestem dozorczyńnię.

— Męczarnie, męczarnie!—szeptała Sabina, zatulając usta chustką.

Podbudzona wyobraźnia odtwarzać poczęła jedne od drugich przykrzejsze obrazy.

— Ona teraz patrzy na niego—myślała, uśmiecha się... kokietuje, a Sewer to lubi... Sewer zaleca się do niej.

Popatrzyła na swoje chude ręce i przypomniały jej się białe, kształne ramiona dozorczyńni, świeża jej twarz i zalotne oczy.

— Sewer takie lubi... Sewer pożera ją teraz wzrokiem... O, mój Boże, mój Boże!

W miarę przedłużania się nieobecności dozorczyńni, chora traciła siły, pot oblewał jej skronie, serce biło przyspieszonym tętnem.

Wieczorem dostała dreszczów, gorączki.

— Byłam już przy tylu chorych, ale takiej wartyatki jeszcze nie miałam w swojej praktyce — opowiadała dozorczyńni pokojówce.

— Trzeba posłać po doktora, bo ona mi tu gotowa figla jakiego spletać.

— Oczy ma takie dzikie, ażem się zlekła — szepnęła pokojówka.

Dozorczyńni obejrzała się na łóżko.

— No, zasnęła przecie. Wie panna Klara, zdaje mi się, że tu nie ze wszystkim idzie pomiędzy

małżeństwem, jak potrzeba. Panuby się młodej chciało i ładnej.

Klara figlarnie mrugnęła okiem.

— Pan okropnie na ładne łapczywy—roześmiała się.—Panią tylko z pieniędzy wziął...

Zajęte rozmową nie zauważyły, że chora słuch wyteża, łowiąc uchem wyraz każdy.

Rano posłano po lekarza do Bąków. Krystyna robiąc zakupy w mieście spostrzegła konie z Pistulina.

— Co też Sabcia porabia?—pomyślała. Pójdę, zapytam...

— Janie, jak się macie? — zagadnęła woźnicę. Co tam słyhać? Państwo zdrowi?

— Po doktora przysłali — odparł zakłopotany. Lewińskiego niema i niewiadomo: czekać, albo z powrotem do domu ruszać!

— Któż chory?—spytała z trwogą.

— Dziedziczka. Gadają, co pomrze. I maluskie pono niezdrowe.

Nie słuchała więcej.

— Stachu, Stachu kochany — wołała wpadając do domu i garnąc się mężowi do piersi—Sabcia chora, córkę ma... O mój Boże, ona tam sama, bez matki, bez opieki i dziecko, słyszysz, Stachu? Dziecko! Jakżem szczęśliwa! Jadę zaraz, natychmiast... Pozwolisz, prawda?

Całowała męża, płakała i ze szczęścia i z trwogi,

zapomniawszy o lekceważeniu i obojętności Sabiny, która od dnia ślubu jej, zerwała z nią stosunki.

W kilka godzin potem stała przy łóżku chorej.

— Niech pani idzie odpocząć — mówiła do dozorczeni. Ja panią zastąpię.

A gdy się opierała, rzekła wręcz:

— Czy pani nie widzi, że chora wstrząsa się na jej widok? Może to chorobliwe dziwactwo, lecz uledez mu trzeba.

Istotnie, po odejściu dozorczeni Sabina uspokoiła się. Oczy straciły wyraz trwogi i osłupienia.

— Niema jej? Niema?—pytała co chwila, a widząc przy łóżku Krystynę, uśmiechała się blado.

Krystyna wiedziała, co skuteczniej oddziaływało na nią, niżeli lekarstwa.

— Sewer tu był, Sewer pytał o ciebie—powtarzała. Dla niego i dla małej Sewerki, bo odgaduję, że jej inaczej nie nazwiesz, musisz być zdrowa.

Sabina wpatrywała się w nią oczyma zażawionemi.

— Krysiu, moja ty droga! — szeptała ze łzami i czuła wdzięczność ogromną dla tej siostry odepchniętej, a tak pocziwej.

Po tygodniach paru zdrowie Sabiny znacznie polepszać się zaczęło. Wprawdzie bardzo powoli odzyskiwała siły, ale Krystyna pewna już była, że niebezpieczeństwo minęło.

Jej Stach ukochany upominał się o żonę, czas było do domu wracać, a tu chora wspomnieć o tem nie dozwalała.

— Tyleś mi obecnością swoją dobrego zrobiła, że nawet nie wiesz...—mówiła. Duszę bym ci oddała, takam ci wdzięczna.

Popłakały się. Poczem, że to szczerłość była już między niemi zupełna, Sabina opowiedziała siostrze o troskach swoich i męczarniach, jakie uczuwa, gdy Seweryn do kobiet się zbliża.

— On ma taki nieznośny zwyczaj zalecania się do każdej, byle twarz ładną miała... — skarżyła się— a ja wtedy konam z zazdrości. Trudno mu też zapomnieć, że mnie pojął z m'ieszczkańskiego gniazda. Jego wszędzie przyjmują, na mnie, jak na raroga, patrzą.

— Nie zważaj!—perswadowała, całując siostrę, Krystyna. W gruncie rzeczy on ciebie kocha, a do tamtych umizga się ot tak, dla zabawki. I jeszcze ci coś powiem: niech on nie widzi, że ciebie to irytuje. Udawaj, że nie dostrzegasz niczego.

— Czy to można, gdy się kocha...

— Masz dziecko, gospodarstwo... To ci niejedną chwilę osłodzić powinno. Ot Jadwisia mnie martwi. Jej trudno będzie znaleźć męża.

— Tak. W dodatku i ten Kostek niedobrego hula ogromnie, a pracować mu się nie chce. I z Łaręcinem też kłopot niemały. Siano, na które ojciec liczył, przepadło, robotnik drogi, rodzice na gospodarstwie się nie znają... Inwentarz musiał ojciec kupić i pola były nieobsiane...

Krystyna zamysliła się smutno.

Stało się, jak przewidywał Mordalski, i jak ona ze Stachem przepowiadała!

— Ach, Sabciu,—rzekła po chwili—ten Łaręcın to będzie ciężka dla ojca zgryzota. Ileż razy Stach mówił: Sklepu nie sprzedawać, Jadwiga niech się na Jaworzewską zapatrzy.

— No i cóż wielkiego, Jaworzewska?—skrzywiła się Sabina. Doskonałość z tej zarozumiałej pannicy robicie.

— Moja droga, Kazia ma przyszłość przed sobą. Jaki tam ład teraz, jaki towar! Mówią ogólnie, że Kazia ogromną konkurencyę robi żydom, niezadługo sklep jej będzie miał przed innemi pierwszeństwo.

— No, tylko nie przesadzaj!

— Wcale nie przesadzam. Praca jest, to praca; uwijanie się od rana do wieczora, ale czemże to jest w obec rezultatów! Kazia zadowolona, prawie szczęśliwa... Czy przypuszczasz, że nasza Jadwisia szczęśliwsza, choć próżnuje?

Lecz na tym punkcie pojęcia Sabiny były inne. Wolałaby widzieć siostrę żoną najuboższego obywatela, niż kupcową.

Po wyjeździe Krystyny uczuła się znów samotną; opanowała ją tęsknota i budził się żal do Sewera.

Sewer rzadko bywał w domu, rzadziej jeszcze zwracał się do żony z pocziwem słowem lub pieśczętą. Natomiast sceny rozdrażnienia, wyrzuty po-

wtarzały się coraz częściej, mimo, że Sabina starała się być uległą.

— Bój się Boga, Sewerku, i tobie się nie sprzykrzy tak ciągle jeździć? — rzekła dnia pewnego, gdy po tygodniowej nieobecności zasiadł z żoną do obiadu.

— I zdrowia szkoda i—

— I pieniędzy, prawda? Toś niewątpliwie chciała powiedzieć... Wiem, wiem! Obliczyłaś już pewnie, ile straciłem.

— Jeślibym obliczała, to tylko ze względu na Sewerkę naszą — smutno szepnęła.

— Al masz teraz parawan. Ale tu i córka twoja nie pomoże. Wydaję, bo mi się tak podoba, rozumiesz? A ty, nie masz taktu, ani przywiązania do mnie, bobyś mi wymówek nie czyniła.

Spojrzała na niego zdumiona.

— Oj, Sewerku, jakiś ty niesprawiedliwy!

Głos jej drżał, oczy napęłniły się łzami.

A Sewer myślał tymczasem:

— Dobrze, żem ją zakrzyczał. Będzie się rozczulać nad moją niesprawiedliwością i wiadomość o przegranej wczorajszej przyjmie obojętnie. Trzeba znać baby.

I nie namyślając się dłużej, rzekł:

— Przegrałem wczoraj tysiąc rubli. Szkoda, ale cóż począć!

Oślupiała.

— Przegrałeś? Tysiąc rubli? — wyjąkała po chwili! Ty chyba żartujesz, Sewer?

— Wcale nie! Przykro mi, bo już cię wolałbym wygrać.

Załamano ręce. Obudziło się w niej poczucie krzywdy, jaką wyrządził dziecku.

— Jak mogłeś zapomnieć, że mamy córkę i obowiązek święty względem niej — odezwała się do męża z surowością niezwykłą...

— Wstydz się, Sewer!

Sewer bębnił palcami po stole.

— Żałuję, żem dwa razy tyle nie przegrał — bąknął niedbale. Byłoby za co moralów słuchać. Ale wiesz, co ci powiem? Braciszek twój mądrzejszy; buchnął odrazu kilka tysięcy. To rozumiem!

— O Boże! Cóż to znów nowego! O kim ty mówisz, Sewerku?

Sewer uśmiechnął się nieznacznie, admirując zręczność swoją.

— Cóż się tak dziwisz? — pyta. Chyba to nie nowina. Kostek nie od dzisiaj ssie kieszeń ojca i jeśli tak dalej pójdzie...

— Mój Boże, mój Boże! — jęczała Sabina, a on swoim lekkim tonem mówił dalej:

— Cieszyliście się, że Kostek w pana się bawi, podniecaliście jego głupią pychę. Ot i macie pociechę. W każdym razie, radzę ci ostrzedz ojca, bo chłopak na złą drogę wszedł.

— Czyżby ojciec dawał mu tyle pieniędzy?

— On nie czeka, aż mu dadzą. Na swoją rękę interesy robi; ale w ten sposób Łaręcin w krótkim czasie dyabli wezmą.

— Możebyśmy pojechali do Łaręcina, Sewerku?— spytała znękana.

— Jedź, któż ci broni. Należy nawet rodzicom wnuczkę pokazać, skoro na chrzciny ich nie prosiłaś.

— Wiesz przecie, że nie mogłam. Przy twoich gościach moi rodzice ustby otworzyć nie potrafili. Czy pojedziesz ze mną?

— Ja? To także myśl... Cóż jabym tam robił? Możesz jechać sama; zazdrosny nie jestem...

Lecz postrzegłszy chmurę na czole żony, zbliżył się do niej i pogładził włosy.

— Nie martw się!— rzekł. Kostek się poprawi, a ty się podróżą rozerwiesz.

Pod wpływem niebywalej tej u niego czułości, twarz Sabiny rozjaśniła się nagle.

— Sewer, mój Sewer! — szeptała, tuląc się do niego.

Wszystko mu wybaczyła, o wszystkim, co jej kiedykolwiek złego uczynił, zapomniała.

A potem przy czarnej kawie rzucił z niechęci pytanie:

— Gdzie u licha kawę tę kupowałaś? Aromatu żadnego... Mogłabyś brać w porządnym jakim sklepie, u Jaworzewskich na przykład... Cała okolica nasza od Fiszla do nich się przeniosła.

Sabina krótkie, skośne spojrzenie rzuciła na męża.

— Mogę brać u Jaworzewskich— rzekła, przypominając sobie przestrogi Krystyny.

Że jednak nurtowała ją zazdrość i chęć wybadania Sewera, więc dodała:

— Jeśli masz zamiar być wkrótce w Bąkach, to wstąp do Jaworzewskich. Kawę, herbatę możesz wziąć na próbę... Gospodyni się o cykatę i jakieś pachnidła do ciasta upomina.

Rozjaśnionemi oczyma spojrzała na żonę.

— Będę jutro... — odparł z żywością, i ta go zdradziła.

Sabina przez noc całą nie zmrużyła oka i postanowiła pojechać z mężem do Bąków.

II.

Łaręcina była to sobie wioszczyzna, jakich wiele. Leżała na gładkiej równinie, przez którą rzeczka biegła, podczas suchego lata leniwa, lecz gdy ją topniejące śniegi czy deszcze zasiliły, umiała stać się groźną i toczyła brudnawożółte fale z takim impetem, że zagarniała po drodze uprawne pola, zatapiała łąki, przerywała groble.

Na prawo ode wsi szumiął las młody, podszyty brzezina; na lewo leżały pola orne upstrzone kamieniami, których się tu spotykało mnóstwo.

Chaty stały szeregiem, po obu stronach gościń-

ca; na końcu wsi widniał pałacyk świeży, wymuskany i zabudowania dworskie istotnie w dobrym stanie. Ogród (Sadzikiewicz uparł się nazywać go parkiem) dość starannie był utrzymany. Przed pałacem imponował obszerny gazon urozmaicony klombami kwiatów, kolorowemi, szklanemi baniami i kompasem. Działo to na zmysł wzroku, zasłaniając inne niedobory Łaręcina. I Sadzikiewicz na ten powierzchowny, wymuskany wygląd się złapał.

— Łaręcin potrzebuje nakładów ogromnych— powiedział mu rządcą, gospodarujący od lat kilku w Łaręcinie.

— Głupstwo!— stanowczo odparł Sadzikiewicz— ziemia nakłady zwróci.

A tymczasem nie zwracała. Po roku męczącej gospodarki sam się o tem przekonał. Ale już było za późno, i trzeba było brnąć dalej.

— To tylko tak z początku...—perswadował żonie. Inwentarz kup, do siewu ziarno kup, wozy, powozy, cóż dziwnego, że się, panie kochający, pieniądź rozłazi. Za to później korpus pocziwy wszystko odda.

Ale Sadzikiewiczową to nie uspakajało, więc spytała:

— Powiedz mi też, Adamie, ileś ty na prawdę w to nasze dziedzictwo wpackował? Coś mi się zdaje, że tego...

— Że co?—przerwał żywo Sadzikiewicz. Ty myślisz, żono, że gospodarstwo, to tak jak handel...

Zły towar wezmą; zła waga—nie dopatrzą; a pieniądze płacą... Prawda? Ale tu rzecz inna! Ziemia swoje musi dostać; inwentarz swoje, robotnik...

Sadzikiewiczowa pokręciła głową.

— Wiem, i dla tego właśnie lękam się... — rzekła. Dochodu niema, a rozchód duży. Bacz, Adamie, byś dzieci nie ukrzywdził.

— Co to ukrzywdził? Dla dzieci się robi...— ofuknął ją mąż, ale pani Brygida postanowiła tym razem sumienie męzowskie roztrzaskać. Więc zaczęła:

— Mój kochany, potrzebnie ty robotników tylu trzymasz? Baby się w ogrodzie w trawie wylegują, dziewczuchy ogrodnik do swojej roboty bierze, a ty płacisz. W Garbówce dziedzic się nie wstydzi po pół roku nie wypłacać, a ty im wódkę, chleb, ogórki na pole wozić jeszcze każesz.

— Niech znają pana! — odparł, uśmiechając się z dumą. A potem poklepał ją po ramieniu, dodając:

— Tyś za to jaśnie pani i tak ci bestye korpusy czapkują, jakby jakiej księżnie,

No, nie tak?

Ale nie rozjaśniło to oblicza Sadzikiewiczowej. Godność dziedziczki zanadto ją krępowała. W sklepie co innego! Bywało, przyjdzie służąca czy to od aptekarza, czy od naczelnika, albo z plebanii, weźmie serdelków lub kiełbasy i co przy tem naopowiada! Ona, Sadzikiewiczowa, wiedziała wszystko, co się

w mieście dzieje; teraz w kuchni nawet z dziewczkami pogadać nie może, bo zaraz wpada Kostek, Jadwisia i obces na nią:

„Jak się matka nie wstydzi, jak matka nie umie go lności swej uszanować...“

Dobrze im mówić... Ale co ona ma robić? W sąsiedztwie z nikim nie żyją, do nich nikt nie za-jeżdża, ust niema do kogo otworzyć. Albo i ta Jadwisia.

Od kiedy Łaręcin kupili, strach, jak się zmieniała! Wiecznie kwaśna, nadęta... Bóg Święty wie, czego jej się zachciewa.

Ot, gdyby tak zamaż poszła... Ale kto ją tu weźmie? Obywatel, córki obywatelskiej szuka, a nie jakiejś tam Sádzikiewiczówny. W Bąkach, urzędnik, kupiec na posagby się zlakomił; w okolicy patrzą tutaj na nich, jak na przybłądów. Ona wszystko widzi i tak sobie kalkuluje, że lepiej zawsze, gdy człowiek swego fachu się trzyma.

Więc ulżywszy uciśnionej piersi westchnieniem, zwraca się do męża i mówi szczerze:

— Wiesz, Adamie, jabym z chęcią do Bąków wróciła. Cni się człowiekowi na wsi. Co tam z tego, zem dziedziczka i że mi czapkują. Za to szlachta od nas stroni, chociażśmy córkę za takiego familianta wydali. Na balu, co to był na strażaków w miasteczku, wyraźniem słyszała, jak Jadwisi przymawiali. Jakie to ludzie niepoczciwe.

Sádzikiewicz się skrzywił.

— Et, babskie wzmysły—rzekł wymijająco, ale widać było, że go słowa żony dotknęły.

Rozeszli się markotni oboje, i Sádzikiewicz kazał konie do dryndulki założyć; pojechał do pszenicy.

— Cóż, jakże? — spytał pilnującego żniwiarzy rządę. Kłosa ciężkie, powinna dobrze sypać.

— Co? Ognicha?—wzruszył ramionami rządca. Pan dziedzic się uparł siać na tym kawałku pszenicę, a jam odrazu mówił, że to na nic, bo ziemia nieprzygotowana, a ziarno wybredne. Niech się p. dziedzic przypatrzy: sama ognicha i maki zdaleka się czerwieni; gdzieniegdzie jeno kłos wystrzeli blade, nikły... Szkoda było zachodu.

Sádzikiewicz się rozgniewał.

— Pan zawsze przez czarne okulary patrzysz...—odezwał się szorstko. Po co, panie kochający, językiem po próżnicy dziać.

Zresztą, nie urodziła się pszenica, to się urodzi żyto, jęczmień, kartofle i zbiory inne pszenicę pokryją.

— Kartofle drobiazg i gniją... Nie trzeba było, panie dziedzicu, na tych dołach pod Olszanką sadzić...

— O, o! Już gniją. Jeszcze nie wykopane, już im pan gnicie prorokujesz. Kartofel to wytrzymały korpus, proszę pana. Nikt się lepiej ode mnie na kartoflach nie zna; ile ja, panie kochający, trzody wykarmiłem...

Lecz dostrzegłszy ironiczny uśmiech na twarzy rządcy, dodał szybko:

— I kartofle głupstwo! Siano grunt! Traw prawie w bród, rozkosz patrzeć. Wojsko wszystko wykupi; oni dobrze płacą. Trzynaście włók łąk... Ho, ho! to nie żarty, panie kochający!

— Niech pan dziedzic zbierze siano na tych moczarach—mruknął nieprzejednany rządcą. Od Jastrzębcowa za nic nie dojedzie, a i tu jak się rzeka rozkaprysi, Amen! Te łąki to jeno na przynętę figurują; tak jak i las. Młodzizna taka, że jednej uczciwej sosnyby nie znalazł.

— Proszę wielmożnego dziedzica—odezwał się stojący z boku ekonom—zawdziuteńki siano stęchłe i kwaśne. Bez to co mokrzyzna. Stworzenie popyśka jeno i żreć nie chce.

— Głupiś, panie kochający!—zawołał Sadzikiewicz, lecz wnet się pomiarkował i klepiąc chłopą po ramieniu, mówił dobrodusznie:

— Ja ci wierzę, kochanku, ale widzisz tego... W zeszłym roku to co innego, bo lato było mokre.. No, będzie zresztą, jak Bóg da, żeby nam tylko pogoda dopisała. Ot co.

— Deszcz czuć w powietrzu... — ozwał się rządcą. Jeszcze nam tylko tego trzeba.

Sadzikiewicz podniósł oczy do góry.

Wiatr pędził chmury, które wyglądały jak strzępy szarej tkaniny, a jednocześnie, gdy słońce z poza nich wybiegło, prażyło niemiłosiernie.

— Hmu!—mruknął markotnie—jakoś panie kochający, przypieka i chmury tańczą po niebie; ale wiatr może rozpędzi... Dalibóg, rozpędzi, bo na zachodzie czysty błękit... Widzicie?

Tylko żwawo, do roboty! Hej, gospodarze, panie robocy posłuchajcie no! Każdemu na kwitku po 5 kop. dopiszę. Uważacie? Co tam po 5, po 10 kop. dopiszę, byle robota szła żwawo. Cóż kontenciście?

— Panie dziedzicu!—szepnął rządcą. Oni i tak lepsze tu wynagrodzenie biorą niżeli gdzieindziej. Dalibóg, to się tylko ludzi psuje.

Ale Sadzikiewicz w myśl zasady: niech znają pana...—wcale naddatku tego nie żałował.

Rządcą machnął ręką, kapelusz słomiany głęboko wsadził na oczy i odszedł do żniwiarzy. Ekonom faworyt dziedzica wnet się do pana przysunął.

— Co on tam bzdurzy, wielmożny panie,—ozwał się poufnie, oczyma wskazując rządcę. Chłop, jak mu dobrze zapłacić, w dwójnasób robi. Żeby nie deszcz, to jeszcze, ale kiej bestyę już i w kolanach czuć... Na odmianę, wiadomo. Jabym panu dziedzicowi z przeproszeniem pańskim, jenszą rzecz poradził.

— No, gadaj. Co takiego? Wiem, żeś uczciwy korpus i nie głupi.

— Wedle robotnika panie dziedzicu — odrzekł ekonom. Żeby o to zegnać od południa, kto ino ręce zdatne do pracy ma, możebyśwa z pszenicą przed deszczem uciekli. Wiater chmury pogania, przez ja-

tro może flagę strzyma. Żeby ino w snopki wiązać duchem i pod dach...

Sadzikiewicz popatrzył na niego z uznaniem.

— Mądrzejszy, niżeli ten młokos rządca...—pomyślał, a do ekonoma rzekł:

— Rób jak uważasz, Jędrzeju. Czy tylko znajdziesz robotników? Widziałem, jadąc, że u Banasika żną, u Kielbasy, u tej bogatej wdowy Furtasińskiej.. Trudno będzie.

Chłopu z oczu wyjrzała przebiegłość i zadowolenie.

— Dopraszam się łaski wielmożnego dziedzica, na wszystko się rada znajdzie—rzekł. Pójdę do dwórek i wygonię baby do wiązania snopków. I na wozy mogą podrzucić. A jakże. Powiem, że dziedzic kazał, żeby wyszły do roboty co do jednej.. Dzieciśka małe w płachtę i już, a co rąk przybędzie, to przybędzie.

Sadzikiewicz poklepał go po ramieniu.

— Ano, to idź, idź, panie kochający, i niech korpusy od południa do roboty przyjdą. Powiedz im, że tego, że ja zapłacę. Dobrze zapłacę.

Ekonom pomknął chyżo ku wsi, a Sadzikiewicz siadł na bryczkę i do lasu jechać kazał. Coś go „tknęło,” jak potem opowiadał żonie.

Wjechali w krzaki i Sadzikiewicz, rozgrzany i zmęczony, aż usta szeroko otworzył, wchłaniając świeże, aromatyczne zapachy, rozkoszując się chłodem. Strumyk upstrzony niezapominajkami płynął

wzdłuż drogi, a przy strumyku pasły się owce i krowy, objadając nie tylko trawę, ale i młode gałązki.

— A niech was najjaśniejsze!—wrzasnął Sadzikiewicz. To mi las paskudzą. Stój, Mateusz, stój! Dam ja im!

Lecz Mateusz tak zręcznie manewrował, że nim rozbiegane niby rumaki powstrzymał, pastusi, zoczywszy dziedzica, odegnali bydło het, po za granicę Łąęcina.

— Jedź za nimi, goń, chwytaj—wołał Sadzikiewicz na furmana. Niech przynajmniej wiem, którzy, zaskarżę huncwotów, kijem obłożę...

— Na przełaj nie przejedzie, wielmożny dziedzicu—perswadował, kryjąc chytry uśmiech, Mateusz. Chybaby nawrócić kole krzyża i po później wziąć się bokiem aż do kopców.

I jak zaczął nawracać od krzyża, a potem od kopców, w lasku pusto już było i cicho.

— Jedź wolno, boś konie zmęczył... — odezwał się wreszcie Sadzikiewicz. Ja ich tu jeszcze kiedy przyłapię i ze skóry huncwotów obedrę.

Cisza leśna ukoiliła zwolna jego wzburzenie. Od niegodziwości ludzkiej myśl się zwróciła ku pięknościom lasu, jego lasu. Wiatr liśćmi szeleścił łagodnie, chwiały konarami dęby młode i smukłe sosny, rozkładały się szerokolistne paprocie i kępy macierzanki. Slicznie tu było, wonno, zacisznie i szorstka natura Sadzikiewicza poddawała się bezwiednie urokowi, obcemu dotąd dla niego.

Wtem ciszę przerwał stuk siekiery. Sadzikiewicz drgnął i podniósł się na palcach.

— Mateusz, słuchajno! Gdzieści drzewo rąbią...
Mateusz nadstawił uszu.

— A rąbią, proszę dziedzica. Musi kale gli-nianek.

— Podjedźno tam, panie kochający! Ale ostro-żnie, żeby łotrów nie spłoszyć. Patrzajże! Gospo-darują sobie w moim lesie, jak w swoim.

Mateusz skręcił ku gli-niankom i nagle pochylił się, wyglądając czegoś między drzewami.

— Niech ino dziedzic patrzają...—odezwał się sze-ptem—jakie to dębczaki na ziemi leżą. To psie wi-a-ry dopiero! Ścinają, jak swoje.

Sadzikiewicz schwycił go za ramię. — Stój! A niechże ich kroćset! Najpiękniejsze dębczaki, pa-nie kochający! Bodajże was cholera!

Zeskoczył z bryczki, a obejrzawszy szkodę, osłupiał.

— Jedź za mną, ja pójdę przodem — rzekł do furmana. Złapiemy ich na gorącym uczynku. Jak Pana Boga kocham, zaskarżę do sądu i do kryminału wsadzę złodziejów. Ty, Mateusz, będziesz za świa-dka, uważasz?

Ale Mateuszowi rola ta nie przypadła do gustu. Skrzywił się, w głowę poskrobał pcczem już szczerze powiedział:

— E! proszę dziedzica niech ta inni świadczą. Ja nie będę. Toć widzę, że szkody juchy narobili,

aż serce płacze. Niech ino dziedzic na lewo spojrzą. Dyć to furmanki naładowane dębiną na drodze stoją.

— Jak się to pomsty Bożej nie boją, gałgany! Ale taki za świadka do sądu nie pójdę, boby mię jeszcze kaj ubili i tyła.

Po przez rzadkie w tem miejscu gałęzie widać było istotnie trzy wozy gotowe do drogi. Południe się zbliżało, konie skubały trawę lub liście młode, oganiając się od much i komarów; chłopi leżeli w cie-niu.

— To nie nasi...—szepnął Mateusz.

Przystanął i, założywszy na kolek lejce, podsu-nął się bliżej.

— Grzela z Paciorkowa i Sobek, co to łońskiego roku wyprowadził konie Kowalczykowi w Miedzia-nowie. Oho! i Walczak je... Same koniokrady, be-styje! Grzela w hareście bez pięć roków siedział za to, co do gajowego w Mokrznie strzylał...

— I zabił, zabił go? — spytał szeptem Sadzi-kiewicz.

— No juści. Dopierój w śpitalu kule mu wy-ciągali. Albo taki się kogo boi? Sam wójt go się boi, choćby i tego Grzeli, bo to największy herst mię-dzy nimi.

Sadzikiewicz skinął na Mateusza.

— Właz na kozioł i nawracaj. Już ja ich znaj-dę, ale gdzieindziej, nie w lesie. Poganiaj!

Bryczulka potoczyła się ku wiosce.

Dzwonili na południe, gdy Sadzikiewicz znalazł

się wreszcie w stołowym pokoju, gdzie widok dymiącej wazy z barszczem zabelanym i półmiska pierogów kruchych nadziewanych mięsem, rozproszył nieco posepne myśli.

— Zjem, a potem poradzę się Brygisi, co z tymi korpusami zrobić...—postanowił i, osadziwszy na widelcu pieróg, już go miał wpuścić w usta, gdy Mateusz zjawił się w pokoju.

— Proszę wielmożnego pana, a tośma żrybaka zgubili...—rzekł zafrasowany.

— Co? Gdzie? — zerwał się Sadzikiewicz, zapominając o pierogu, który tymczasem opadł zręcznie na niebieską suknię muślinową, siedzącej obok ojca panny Jadwigi.

— Jezus, Marya! Adamie!—krzyknęła strofującą dziedziczka. Suknia świeżo uprana...

— Ojciec zawsze koncepty miewa...—oburknęła się Jadwiga, wycierając plamę serwetą.

— Głupstwo! — zawołał Sadzikiewicz. — Tu o żrebaka chodzi. Co ty gadasz, Madeusz? gdzieżbyśmy go zgubili?

— Musi w boru ostał...

— A ty gapiu, odczegoś tam był?

— Dyć i pan dziedzic był... — mruknął chłop zuchwale.

Sadzikiewicz wnet się udobruchał.

— Ale bo widzisz, kochanku, trzeba było pilnować. Siądź teraz na konia i ruszaj do lasu.

— Kobylę wezmę, to się najprędzej z maluskim zwąchają.

— Bierz. Że też człowiek nawet obiadu spokojnie zjeść nie może.

Mateusz wyszedł, a Sadzikiewiczowa dalejże na meża:

— Coś ty za pan, coś ty za dziedzic, każdy cię za łeb trzyma. Zamiast chłopą w gębę zamalować za zuchwalstwo, on mówi „kochanku“! Poczekaj, wykroją ci te kochanki kurtę, że się nie rychło wyliżesz.

— Mamo, nie mówi się przecie o mężczyznach „te kochanki“...—zgromiła matkę p. Jadwiga.

— El pilnuj lepiej pierogów..—odcięła się matka. — Potrzebnieś ty tę suknię niebieską dzisiaj wzięła? Pies kulawy cię zobaczy.

— Boże, co to za życie!—jęknęła, kładąc widelec, p. Jadwiga.

Sadzikiewicz, rad, że o nim zapomniano, wsuwał pierogi z zadziwiającą szybkością. Gdy już nie wiele na półmisku zostało, nalał sobie drugi talerz barszczu, a spostrzegłszy nieobecność Konstantego, spytał:

— Gdzież to Kostek? Mogłabyś go też porządku nauczyć, Brygisiu!

— Kostus śpi jeszcze... — ozwała się Jadwiga. — Dopiero nad ranem z jarmarku wrócił.

— Hultaj! Potrzebnie on się po jarmarkach włóczy.

— Mój Adamie—ujęła się za ulubieńcem matka, —cóż ci znowu jarmarki szkodzą... Miał interes i pojechał.

— Jaki?—wybuchnął.—Pieniądze puścić, co?

— Konia sprzedawał—wtrąciła Jadwiga.

— Konia? Tygodnia niema, jak go kupił. Oszałał, czy co?

— Mówił, że mu pieniędzy potrzeba...—dodała.

A Sádzikiewicz aż podskoczył na krześle.

— To hultaj, to utracysz. Dam ja mu!

Zerwał się i pobiegł do drzwi.

— Antośka! — krzyknął na pokojówkę — poskoczno do pana Konstantego i powiedz, aby przyszedł na obiad. Duchem!

Dziewczyna poszkoczyła. Stary, sapiąc, opadł na krzesło.

Sádzikiewiczowa dyplomatycznie podsunęła mu półmisek z pieczystem, mówiąc:

— Jedz, póki gorące. Kaczki tłuste, prędko skrzepną.

W głębi domu powstał hałas, krzyk. Słysząc było cienki dyszkant kobiecy, potem płacz. Panna Jadwiga spojrziała na matkę i chrząknęła. Matka spojrziała na córkę i także chrząknęła. Porozumiały się.

— Któraż się tam tak drze? — spytał Sádzikiewicz.

Jakby w odpowiedzi zapłakana Antośka ukazała się we drzwiach.

— Proszę pana dziedzica — zaczęła z płaczem i umilkła.

— No, a co tam? — ofuknął ją Sádzikiewicz.

Dziewczyna zasłoniła oczy fartuchem.

— Ja młodego pana za nic budzić nie będę— wyjąkała. — Niech idzie Józef, albo choćby który parobek.

Sádzikiewicz popatrzył na hoże liczko dziewczyny i zaczął się śmiać.

— O, o, głupia!—rzekł.—Głupich nie sieją, sami się rodzą. Czego gębę drzesz? Nic ci się przecie nie stało. Ruszaj do roboty!

Wyszła, ocierając oczy fartuchem, Sádzikiewicz zwrócił się do żony.

— Ten huncwot Kostek strasznie tego, panie kochający... Już mi się i na wsi skarżyli. Cóż, młodość, niech się korpus wybryka.

W kwadrans potem wszedł Konstanty w żółtym kitlu, bez kołnierzyka, bez krawata, nieogolony, w haftowanych pantoflach, z twarzą bladą, jakby narzędką i zaspanemi oczami.

Wszedł i rzuciwszy krótkie — „Dzień dobry“, siadł przy stole.

— Antośka, kawy czarnej!...—krzyknął w stronę drzwi.

— Nie będziesz jadł?—spytała matka.

— Później chyba. Macie cytryny?

Przeciągnął się, ziewnął i, zwracając się do ojca, rzekł:

— Cóż ojcu za interes wypadł, że mnie budzić kazał?

Sadzikiewiczowi wielkopańska swoboda syna zaimponowała.

— Prawdziwy pan z tego Kostka — myślał. — Hulaka, bo hulaką, ale mina, panie kochający, siarczysta. I zamiast z burą wystąpić, jak miał zamiar, ozwał się łagodnie:

— Wiesz, Kostuś, żrebak nam w lesie zginął. Mateusz z kobyłą pojechał go szukać.

A Kostek na to szczerze:

— To gapiostwo wyższe, proszę ojca. Ojciec się pewno na swój piękny las zagapił...

Chmura zasępiła oblicze Sadzikiewicza.

— Żebyś ty wiedział, com ja za odkrycie zrobił... — ozwał się ponuro. — Na wsi człowiek, panie kochający, koszuli na grzbiecie pewny nie jest.

I, zapomniawszy o postanowieniu spożycia spożycia spokojnie darów Bożych, opowiedział rodzinie o kradzieży w lesie.

— Źle, że ojciec stehórzył... — rzekł na to Konstanty. — Trzeba było śmiałków ukarać.

— Ba! Spytajno Mateusza co to za korpusy, panie kochający! Zaskarżysz hunewota jednego z drugim, to ci stodoły lub pałac podpala.

— Jezus, Marya! — krzyknęła Sadzikiewiczowa. — Rządca z rewolwerem powinien odtąd sypiać w pałacu — wtrąciła p. Jadwiga.

Konstanty zerknął na nią z ukosa.

— A tak, naturalnie! — potwierdził i ni ztąd ni zowąd zanucił:

„W majowym wianku z róż

„Ujrzałem ciebie już...

Przerwał mu zadąsany ojciec, mówiąc:

— Nawet w takiej niebezpiecznej chwili żarty ci się trzymają.

Kostek sięgnął widelcem po udko kaczki.

— Ojciec ich puścił plazem, więc niema się czego obawiać — rzekł — Radziłbym tylko zmienić gajowego i dodać ze dwu parobków do pilnowania lasu. Inaczej wszystko rozkradną.

Zawołał znów o kawę i ziewnął szeroko.

Przypomniało to Sadzikiewiczowi, po co go wezwał.

— Cóż jarmark? — zapytał. — Sekrety robisz, panie kochający, przed ojcem. Nie wiedziałem, żeś znowu konia przehandlował. Ileżes wziął?

Kostek, zajęty kawą, odparł niedbale:

— I tak ojciec pieniędzy za niego nie dostanie.

Sadzikiewiczowa spojrzała ukradkiem na męża.

— Bo widzisz, Kostuś, ojciec ciekawy, czyś się nie okpił — odezwała się pojednawczo.

— Niech się mama nie lęka..

I zaraz zaczął opowiadać, kto był na jarmarku, z kim się poznał, z kim pił...

— Wie ojcie, — mówił, ozywając się, — walne chłopey ci nasi sąsiedzi. Piją, jak gąbki. Było nas sześciu u Stokowskiego, wie ojciec, tego w rynku

Szyk restauracya, parole d'honneur! Więc było nas sześciu... Tak. Alfred Gruszczyński, ten facet z Bobrówki, Bonus Łędzki, Zawadzki, Hilarek Życki i ów arystokrata z Bobrzyńska. Potentaci, powiadam ojc.

— Ba!—mruknął Sádzikiewicz.—Godne korpusy, wiadomo. I cóż? Jakże oni z tobą? Grzecznie, co?

Konstanty się napuszył.

— Także! Razem piliśmy, razem grali... Jak ten Alfek gra... Koncertowo, [parole] d'honneur... Obębnił nas wszystkich.

— Dużoś przegrał?—z trwogą spytała matka.

Kostek się zawahał.

— Dużo nie dużo!—odparł wymijająco.—Gruszczyński śmiały się z takiej przegranej.

— Mógłbyś też zaprosić do nas Gruszczyńskiego—odezwała się Jadwiga.—Widziałam go w kościele. Bardzo przystojny.

— Nie chciałby może...—wtrąciła matka.—Takie panky to duże fomy w głowie mają.

— Może być. To panek — rzekł Konstanty.—Ale, ale, zapomniałem! Sołtys oddał mi papier jakiś dla ojca.

Sięgnął do kieszeni.

— O!—zawołał po chwili, czytając.—A to ojca uczcili!

— Co? Co takiego? — poruszył się żywo stary. Panna Jadwiga pochyliła się za krzesłem brata.

— Niechno ojciec posłucha... „Zarząd gminny

Tarkowice—czytał Konstanty—uprasza W. P. Adama Sádzikiewicza, dziedzica dóbr Łaręcin, do uczestniczenia w obradach nad środkami zabezpieczającym od cholery Komitet anticholeryczny zbierze się w Kancelaryi Wójta gminy Tarkowice d. 2-go sierpnia r. b.“ i t. d.

— Słyszy ojciec? Na takim zebraniu, gdzie wszyscy potentaci okoliczni zasiadają, ojciec będzie miał także głos.

Sádzikiewicz poczerwieniał.

— To honor, panie kochający, to zaszczyt!—belkotał oszołomiony.

Wziął z ręki syna papier, obejrzał go starannie, sylabizując powoli:

— Zarząd gminy Tarkowice i t. d.

Brzmienie własnego głosu sprawiało mu rozkosz.

Konstanty rad z ogólnego zajęcia wymknął się do siebie.

Sádzikiewicz, zapomniawszy o kłopotach, ułożył się na sofie do poobiedniej drzemki.

Słońce zbiegło już nisko ku rzece, gdy się przebudził.

— A tom się zaspal, panie kochający! — zawołał, zrywając się i przecierając oczy. — Miałem żniwiarzom podwieczorek zawieźć... A niechże cię pioruny spalą...

— Jak też ojciec brzydko się wyraża — ozwała się, wchodząc, Jadwiga.

W mieszc. gnieździe. II. Tygod. bezp. dod. do „Gazety Polskiej“ 3

Sadzikiewicz popatrzył na nią.

— Cóż ty masz oczy czerwone, jak królik? Płakałaś?

— Czegóż się weselić? Ojciec myśli, że to przyjemnie mieszkać w takiej pustce, gdzie jak miesiąc długi nikt z gości nie zajrzy? Oszaleć można.

Mówiąc, darła batystową chusteczkę, bo jej się przypomniało, że wielkie damy czynią tak niekiedy w przystępie gniewu. Sadzikiewicz ziewnął szeroko, wyprostował się, przeciągnął, poczem kręcąc głową z niedowierzaniem, mruknął:

— Stroi się, panie kochający, jak hrabina albo i wyżej; nie robi i służba, panie kochający, respekt dla niej ma; jakby dla wysoko urodzonego korpusa i jeszcze niezadowolona...

— Mniej się nudziłam w Bąkach—skarżyła się Jadwiga. — Zawsze ktoś był z gości i bale bywały, a tu co? Jaką ja tu partyę zrobię, kto mnie weźmie. . Nikt u nas bywać nie chce, bo i mamę i ojca czuć jeszcze wieprzowiną, a my z Kostusiem za to cierpimy. Widziałam jak się z nas naśmiewali na zeszlórocznym balu w mieście; gdyby to nie był bal na dobroczynność, byliby nas nie dopuścili. Przesiedziałam cały wieczór, jak wmurowana...

Łkanie wstrząsnęło jej piersią i poczęła płakać, jak dziecko rozkaprzone, któremu odebrano zabawkę.

Szeroka, pełna twarz Sadzikiewicza spochmur-

niała nagle. Czarne, okrągłe jego oczy z rzewnym wyrazem zwróciły się na Jadwigę.

— Bój się Boga, Jadwisiu, toć że tak nie płacz... Radbym przecie, panie kochający, aby korpusy jakie u nas bywały, czy obywatelskie, czy choćby na ten przykład, i z miasta, ale trzebaby ich chyba powrozem spętać i przyciągnąć. Mówisz, jako ja winien, albo i matka, że oto z takimi korpusami gładko rozmawiać nie umiemy. Może tak jest, ale na starość trudno się człowiekowi rozumowi uczyć. Cośmy mogli, tośmy zrobili, panie kochający, dla dzieci. Pistulińska arystokratka, pani taka, że—tu głos mu zadrżał—od rodziców nawet zdaleka się trzyma, bo się wstydzi... Wnuczki nawet nie znamy...

— Ojciec nie powinien się temu dziwić—wyniosłe rzekła Jadwiga.—Pistulińska należy teraz do innej sfery...

— Wiem, wiem, kochasiu! Ja to rozumiem i matka oczywiście rozumie i trzymamy się zdaleka... Ale, widzisz, tego... korpus taki powinien zawsze pamiętać, tego...

Machnął ręką, poszukał laski i, nalożywszy słomkowy kapelusz na głowę, dokończył smutno:

— Trudno wam, panie kochający, dogodzić. Kryśka pono najlepszy rozum pokazała...

Powlókl się ku stajniom naglic Mateusza, by zaprzęgał, Jadwiga do ogrodu wybiegła.

Czerwone plamy miała na policzkach i iskry w oczach. Pożerała ją nuda, trawiła tęsknota. W ser-

eu blisko trzydziestoletniej panny coraz częściej budziło się pragnienie namiętne do znalezienia duszy pokrewnej, do serca, któreby zapalało ku niej miłością, do rozkosznego życia we dwoje i własnego kąta. Dławił ją gniew przeciwko całemu światu, piekła zazdrość, bo przecie i Sabina i Krysia i wszystkie pewno znajome panny w Bąkach zamąż powychodziły, a ona nie.

Jadwiga przebiegła ogród i przez gościniec skreśliła w pole.

Łany mizernego żyta leżały przed nią nie zżęte jeszcze, a od olszowskiej granicy szybkim krokiem zbliżał się ku niej rządcą.

Cały dzień prawie stał podczas upału na polu, pilnując żniwiarzy, więc teraz, gdy mgła wilgotna powstawała nad łąkami i szumiał między kłosami wiatr wieczorny, Kacperowski zdjął kapelusz, rozkoszując się chłodem.

Pomiędzy płowemi falami żyta krzepka jego postać odcinała się wyraźnie, ciemno-granatowa marynarka rozpięta na piersiach ukazywała szeroko rozwiniętą klatkę piersiową, odwinięty kołnierz od koszuli odsłaniał szyję koloru miedzi, bo ją tak słońce wyzłociło. Ani ładny, ani brzydki Kacperowski pociągał jednak młodością, zdrowiem i twarzą zawsze pogodną.

Ale aspiracje matrymonialne panny Jadwigi sięgały tak wysoko, że na skromnego rządcę nie zwróciła uwagi.

Z początku traktowała go nawet wyniośle, ale rządcą, śmiejąc się z niej w duchu, udawał, że nic nie widzi i zupełną obojętnością zaczął wreszcie ją drażnić.

I stało się, że p. Jadwiga zauważyła dnia pewnego, iż Kacperowski mimo że się niepięknie nazywa, wcale przyzwoitym jest młodzieńcem. Płomienne jego oczy pełne były obietnic, czerwone wargi nasuwały myśl o pocałunkach...

Jadwiga wdychała, bo czemuż on nazywał się Kacperowski i dla czego nie był obywatelem?

Rządcą tymczasem, myślami zajęty, szedł prosto ku niej.

— Dobry wieczór, pani! — odezwał się spostrzegłszy ją. — Muszę panią ostrzedz. Spotkałem dwóch pijanych włóczągów; niech pani spojrzy, ot siedzą pod gruszą. Nie radziłbym zbliżać się.

— Taak? O, to ja wracam, wracam w tej chwili — zawołała przestraszona

Poszli razem ku domowi.

Kacperowski, traktowany dotąd chłodno i wyniośle, nie odzywał się; rola przygodnego towarzysza panny dziedziczki zaczynała mu ciążyć, bo potrzebował iść szybko, by koniom obrok wydać, a grzeszność nakazywała, do drobniańskich kroków panny się stosować.

Jadwidze dziwnie ta przechadzka do smaku przypadła.

Rządcą jaki był, taki był, aleć zawsze mężczy-

zna młody i przystojny. Nie byłaby kobietą, żeby się tam z lewej strony pod stanikiem coś mocniej nie zatrzepotało...

— Okropnie tu w Łaręcinie nudno — zaczęła rozmowę. — Nie wiadomo, co z czasem robić. Kto przyzwyczajony do zabaw i gości, ten takiego cichego życia znieść nie może.

Kacperowski stłumił uśmiech.

— Jam do gości nieprzyzwyczajony — odparł — więc ich nie pożadam. A zresztą, myślę, że kto pracuje, temu nuda w oczy nie zagląda.

— Być może. Ale nie wszyscy potrzebują pracować — z naciskiem i wydymając dolną wargę mówiła Jadwiga.

— Żałuję ich! — śmiało odparł rządcą. — Praca to zdrowa rzecz.

Wchodzili właśnie do ogrodu, i Kacperowski szybko schwycił za kapelusz.

— Tu już zupełnie bezpiecznie, więc panią pożegnaj — rzekł; kłaniając się.

I nie zwracając prawie uwagi na lekki ukłon Jadwigi, pomknął ku stajniom.

Jadwiga ściagała go oczyma; pierś dziewczica podniosła się westchnieniem.

Oczywiście żoną jakiegoś tam Kacperowskiego nie została by nigdy, ale któżby im zabronił kochać się...

Bohaterki przeczytanych powieści i poematów zwykle rozstawały się z ukochanymi. Ona, Jadwiga,

mogłaby także, zarzuciwszy ręce na szyję „wybrane-go“, wyszeptać łzawo: „Ja cię wiecznie będę kochać, ale twoją być nie mogę“. Poczem na ustach jego złożyłaby pocałunek rozstania, wywołując burzę namiętności w sercu młodzieńca.

Tu myśli p. Jadwigi splątały się... dziwny dreszcz wstrząsa nią... Wydaje jej się, jakoby naraz po przez zwarte drzew sklepienie słońce rzuciło na nią najgorętsze swe blaski, kwiaty nawet wydzielają ostrzejszą narkotyczną woń...

Przyśpieszyła kroku. Kacperowski prawdopodobnie jest już na werendzie, gdzie zwykle o tej porze zbiera się jej rodzina. Wieśniacy i wieśniaczki przychodzą po kwitki za robocizną i na kieliszek wódki, którym w serca poddanych wkupywał się codziennie nowy dziedzic.

Sadzikiewiczowie humor mieli wtedy najlepszy.

Chłopi, dziękując za poczęstunek, obejmowali kolana dziedzica, baby chyliły się do stóp dziedziczki; dziewczuchy zerkały na „młodsze go pana“, który im posyłał pocałunki, nawet p. Jadwiga rozkrochmałała się i gawędziła z babami, od kiedy zasłyszała, że p. Rożańska w Rożannie chętnie obcuje z ludem.

Więc i dziś przedwieczorna godzina zgromadziła wszystkich na werendzie.

Sadzikiewicz w roli łaskawego pana i dziedzica rozprawiał z chłopami. Sadzikiewiczowa rada, że przecie usta ma do kogo otworzyć, plotkowała z babami, Kostek w niebieskim krawacie i pikowym bia-

łym garniturze zachwyconem spojrzeniem obejmował bujne kształty mizdrzących się do niego dziewczyn.

Na stoliku przed nim leżał stos różnobarwnych papierków.

— Będę wydawał sam kwitki za robociznę, a w niedzielę będę wypłacał — rzekł dnia pewnego do ojca.

Sadzikiewicz uradował się niezmiernie.

— Bierze się chłopak do gospodarstwa — opowiadał potem żonie. — Dobry znak!

Antoska, sprzątając właśnie od kawy, słowa te posłyszała. Śmiech ją porwał gwałtowny, aż filiżanki na tacy zabrzękły.

— Czego się gzisz, głupia! — zawołał Sadzikiewicz. — Tację upuścisz.

Dziewczyna wyleciała za drzwi, by zaraz potem w kredensie opowiedzieć służbie, jak starszy pan chwali młodszego za to, że sam kwitki rozdaje.

— A wiecie bez co rozdaje? — pytała, chichocząc. — Bez to, co Kaśka od Grudniakowej zamiast jednego, dostaje trzy albo styry od razu i Marcinkówna także i ten wystyrkacz Franka Wójcikówna.

Konstanty istotnie z właściwą sobie przebiegłością przeprowadził manipulację z kwitkami; dziewczuchy darzyły go za to szczególniejszemi względami.

Jadwiga weszła na werendę rozrurieniona.

Rumieniec i ożywienie odmłodziły ją. Rzuciła okiem, Kacperowskiego nie było. Zamiast niego, o wypadkach dnia opowiadał dziedzicowi ekonom.

— Żeby ino Pan Jezus dał jutro pogodę, tobyśwa sporo snopków do stodół zwieźli — nowi układnie.

— Dużo jeszcze zostało?

— Mało wiele, proszę wielmożnego dziedzica. Szmat roboty się prze waliło. Dwórki zegnałem wszystkie, bo po co mają w chałupie próżnować. Ale bestye chciwe, po kopiejków styrdzieści każą sobie płacić za pół dzionek.

— Trudno! — mruknął Sadzikiewicz, oglądając się, czy żona nie słyszy.

A tymczasem Walek szepnął Antoście, rozlewającej wódkę:

— Przewalały się ino w bruzdach z dzieciakami. Czemu one mają lepszą od nas zapłatę brać...

— Nie gadaj! — odszepnęła Antoska. — Dałby ci ekonom.

Złękła się o brata

— Grzymianka, czego się pchasz, kanalia! — krzyknął ekonom w stronę smutnej, bladej dziewczyny, wyciągającej rękę po kwitek. — Próźniaczyłaś się ino bez caluśki dzień i zapłaty ci nie potrza. Widzisz ją!

— Palice sierpem skaleczyłam — wyjąkała. — Aleć zawdy ženam, ino pomaluśku.

— Niech pan dziedzie kwitka nie daje — upierał się chytry sługus.

— Ma przecie ślepie, niedolega, to mogła patrzeć, gdzie palice, a gdzie pszenica.

Śmiech się rozległ, dziewczyna cofnęła się zmieszana.

Ująwszy się w boki, wysoka, zgrabna, fornała żona Grotkowa stanęła przed Konstantym.

Zerknął na nią z ukosa.

— I was zagnali do sierpa? — spytał, muskając wąsik.

— A ino! — odparła, pokazując szereg zdrowych, białych zębów. — Okumon rzekli, co dziedzic pięknie proszą i co po styrdzieści kopiejków za pół dzionek dostaniewa. Beztośmy i przyszły.

Wskazała na stojące opodal dwórki.

— Adamie, bójże się Boga! — zawołała oburzona Sadzikiewiczowa, ale mąż wnet ją zmiłogował.

— Grzeczność nam uczyniły, panie kochający — rzekł cicho. — Chodziło o pośpiech, a takie zdrowe korpusy tego sierpem machają.

Konstanty tymczasem magnetyzował oczyma przystojną, a zalotną dwórkę.

— Jaki kwitek dać? Różowy, zielony? żartował i, oglądając się czy ojciec nie patrzy, wsunął jej trzy kwitki zamiast jednego.

Od stodoł nadchodził rządca.

Wypatrzyły go zdaleka rozmarzone oczy p. Jadwigi.

— Przystojny i szykowny! — pomyślała i dziwiła się, że dotąd tego nie zauważyła.

Korzystając z ogólnego zajęcia, wysunęła się niepostrzeżona. Okrążyła zręcznie wonne rabaty

kwiatów i tuż przy kompasie, wypadkiem niby, spotkała znów rządce. Chciał przejść mimo, ale go ruchem ręki powstrzymała.

— Mam prośbę do pana — ozwała się łagodnie i ze słodyczą niezwykłą.

A rządca, patrząc na nią, medytował, czyli to widok jego, czy konające blaski purpurą zachodzącego słońca, różowią tak pięknie bladą zwykle jej twarz.

— Słucham panią.

— Niech pan jutro nie napędza do roboty Anusi Grzymianki. Rozcięła sobie rękę sierpem. I niech pan każe za dzień dzisiejszy kwitek jej dać.

— Dobrze pani! — odparł krótko, dziwiąc się niepomierne, skąd w sercu kwaśnej, nadętej pychę paniny, zbudziła się litość.

— I jeszcze prośba — dorzuciła słodko:

— Ojciec wspominał o złodziejach, którzy w lesie naszym gospodarują. Wstyd mi wyznać, ale obawiam się, aby do pałacu nie wtargnęli. Niech pan każe stróżowi czuwać pod oknem mojej sypialni.

Spuściła oczy zawstydzona niby, rządca się powtórnie uklonił.

— Będę pamiętał... Ale pani może być zupełnie spokojna. Mam broń i sen lekki. Zresztą wtargnąć tutaj oni się nie ośmielą.

Poszli razem ku pałacowi.

Konstanty przyjął ich dwuznacznym uśmiechem, a gdy rządca rozmawiał z Sadzikiewiczem, szepnęła Jadwidze.

— Na bezrybiu i rak ryba, siostruniu... Namysłiaś się wreszcie...

I zemknał z ganku, nie czekając na odpowiedź. Kaśka Zuliwianka obiecała czekać na niego w ogrodzie.

O! ania tego rozmarzona panna Jadwiga zaczęła coraz śmieiej atakować rządcę.

Spotykał ją na swej drodze tak często, że aż go to zastanowiło.

— Pies kulawy nie zajrzy, więćby się choć z rządcą romansować chciało... — myślał.

— Nie głupim!

I odsuwał się, gdy pod stołem przypadkiem nby nóżkę panny na swojej opartą uczuł, lub odbierając cukiernicę czy koszyk z pieczywem, rękę jego przycisnęła mocniej. Ale że się przytem rumienił i wzrok ku ziemi spuszczał, p. Jadwiga tłumaczyła to sobie na swoją korzyść.

W każdym razie, w monotonnem jej życiu stanowiło to pewną, nader przyjemną rozrywkę. Było przynajmniej dla kogo fryzować grzywkę, dobierać suknie i koronki.

III.

Po kilkudniowym deszczu zajaśniała wreszcie pogoda, i Sadzikiewicz wybrał się w pole. Było to

właśnie w wigilię dnia, przeznaczonego na zebranie w Tarkowic; ch. Mimo dumy, jaka go rozpierała, stary czuł się nie swój.

— Dyabli nadali i cholere... mruczał skrecając naprzd do stodół—żniwaby trzeba kończyć duchem... Jechać, nie jechać... Hum! panie kochający, to jest kłopot ogromny! I co ja tam będę robił... Ten dzień z Łątek nabzdyczy się, jak paw, i pewno sam będzie za wszystkich gadał.. Dobrze byłoby; bo cóż ja im na ten przykład powiem. Albow ja kiedy na cholere chorował, albow ja felczer, czy doktór... Paskudnie jest na świecie, że to każdy korpus musi mieć dobrą i złą stronę. Radbym jechać, a tak mi nijako między tych panków wleźć...

Zajrzał do stodół, pokręcił się tu i owdzie i poszedł w pole.

Markotną minę dziedzica zauważył karbowy, pilnujący w stodołach zwózki.

— Cości, go ukąsiło... mówił do parobków, zrzucających snopki.

Poszeptali coś między sobą.

— Nie ukrzywdzimy go wiewa — ozwał się karbowy.—Zrzucajta snopki do sąsiedka na lewo; nakryjemy słomą i pies nie pomyśli, żeby ich tam szukać.

— Żeby ino rządca...

— A juści! Nim rządca do nich zajrzy, to Judka pieniądze nam odliczy i tak je galanto z sąsiedka wyprowadzimy...

— Ale ekumonowi powiedzcie, żeby tam nie pyskował.

— Toć powiem. Podzielimy się... Takiego, jak nasz dziedzic, obedrzeć, to nie grzech — mówił karbowy. — Mało to pieniędzy na wieprzach zebrał...

— Wiadomo! — powtórzyli ochotnie inni. A Franek Cebula rzekł:

— Powiedzcie sami i wy, Wojciechu, i drudzy: weźmie się do miasta kilkadziesiąt kopiejków, kupi się mało, wiewa, a pieniądze pójdą. Wejdiesz do takiego oto sklepiarza, choćby na ten przykład, do onego Siolca, co w rynku kielbasy i sperkę trzyma, każesz dać salcesona za dychę, kielbasiny czy podgarlaniki i zara ci z 15 kopiejków wywalić każe, albo i więcej! Chytry naród!

— Prawda! — poświadczył karbowy. Ze skóry człeka obedrą, a potem sklepiarz taki za nasze pieniądze wiew sobie kupuje i pan. Rzucajta snopki do sąsięka. Sprawiedliwie nam się należą, bo co to u takiego służyć.

Zajechała fura z żytem, zabrano się żwawo do roboty. Połowa snopków wędrowała do sąsięka na lewo, gdzie je zaraz zeszlóroczną słomą przykryto. Karbowy i z pszenicą urządził tak samo, podzieliwszy się potem z towarzyszymi.

Sadzikiewicz za stodołami spotkał skradającego się pachciarza.

Żyd pomykał chyłkiem koło płotu, gdy go głos dziedzica zatrzymał.

— Judka, Judka, czekajno!

Zgięty we dwoje, żyd zbliżył się pokorny, ze słodkim uśmiechem na pocentkowanej piegami twarzy.

— Cóż ty, żydzie — zaczął, napuszywszy się Sadzikiewicz — czemu za pacht nie płacisz? Termin minął...

Żyd w pokłonie brodą niemal ziemi dotknął.

— Jasny dżedzyc sobie żartuje... — odparł. — Ja mam pacht płacić? Jak to może być.

— Darmo chciałeś trzymać? — oburzył się Sadzikiewicz.

— Ny, darmo? Jak ja mogłem chcieć darmo, kiedy ja jeszcze z góry zapłacił.

— Co? Zwaryowałeś, żydzie! A to bezczelny korpus, dalibóg!

— Młodszemu panu zapłaciłem — tłumaczył się żyd z udaną pokorą. — Młodszy pan przyszedł do mnie i powiada: „Judka, dawaj pieniądze...“ A ja mówię: Jeszcze czas, wielmożny panie! A wuu mówi: „Co to czas... wszystko jedno, czy dzisz, czy jutro dasz... Dawaj, bo potrzeba.“ I wzium!

Sadzikiewicz zgłupiał.

— Niechże go siarczyste! — zaczął, ale się pomiarkował.

— No, skoro wziął, to dobrze — rzekł, siląc się na spokój. — Ty jesteś w porządku; ale na drugi raz pieniądze przynieś do pałacu. Rozumiesz?

— Rozumiem, jaśnie panie! — oświadczył układnie żydek, kłaniając się do ziemi, a Sadzikiewicz po-

myślał, że jednak przyjemna to rzecz, gdy się ludzie tak nisko kłaniają i szanują człowieka. Przyjemne to atoli wrażenie zatarło się rychło, bo wspomniął o postępku syna i gniew nim zawładnął.

— A hultaj, a niegodziwiec!—mrucał, idąc ku pałacowi.—Dam ja mu!

— Gdzie Kostek? — spytał żony, łuskającej, na ganku migdały do ciasta.

— Spi... — odparła.

Spojrzał na słońce.

— Brygisiu, toż południe za pasem.

Wzruszyła ramionami.

— Nie dziwaczże się, mój Adamie! Jeszcze mu snu będziesz żałował? Wiecznie o to spanie, Boże drogi!

— Stodół powinien pilnować—krzyknął z gniewem.

— Do stodół pilnowania masz przecie rządcę, ekonomów... — mówiła, broniąc faworyta, Sadzikiewiczowa.

— A do odbierania pieniędzy w sekrecie przed ojcem, do szwindłów, mam syna! — odparł czerwony z gniewu Sadzikiewicz.—Wiesz ty, moja kochana, że ten twój korpus od pachciarza pieniądze za paecht dawno już odebrał, a Berkowi 30 korcy pszenicy w zeszłym tygodniu sprzedał, nie spytawszy się nawet. I cóż ty na to?

Wzruszyła ramionami.

— A cóż! Nie dajesz mu, zkadże ma brać? Przecie mu się i tak jego część należy.

— Którą puści, zanim odbierze. Myślałem, żeby mu folwark jaki wziąć... Niechby sam gospodarował...

— Ożeni się bogato i folwarku twojego nie będzie potrzebował... — z pychą powiedziała Sadzikiewiczowa. — Chłopak się pnie do góry, w porządnym towarzystwach bywa, cóż dziwnego, że mu pieniędzy potrzeba. Umie z arystokracją żyć, czego my nie potrafimy.

Ostatnie wyrazy wpadły w ucho Sadzikiewiczowej, aniżeli inne. Zamyślił się. Oczywiście, że chłopak sprytny i gładki. Nic sobie z arystokratów nie robi. Onby nawet takiemu magnatowi z Łątek nie ustąpił.

Uderzył się w czoło. A gdyby tak...

Zwrócił się do żony.

— Wiesz, Brygisiu, myślę sobie właśnie, że może dobrze byłoby, aby Kostus zamiast mnie pojechał na to zebranie do Tarkowic. Niechaj chłopca poznają, niech się wkłęci w łaski panom sąsiadom. Ojciec dla dziecka z ochotą wyrzeknie się wszystkiego. Niech jedzie.

Popatrzyła na niego, śmiejąc się.

— Nie okłamuj mnie, stary—rzekła—strach ci w piętę powchodził, ot co! Widzisz, jaki ci na syna łaskaw!

— Głupstwa pleciesz!... — mruknął obrażony. — Zaśbym się ludzi bał? Cóż to wilcy. zjedliby mnie... Ale kalkuluje, że tak byłoby lepiej.

— Może — potwierdziła małżonka. — Jużec on tam sobie prędzej radę da, niżeli ty, Adamie. Żeby tylko chciał jechać...

— Namów go... nieśmiało bąknął. — Jużbym mu i tego pachciarza darował... — dodał ciszej.

— I pszenicę Berkową — roześmiała się Sádzikiewiczowa, zabierając obłuskane migdały do kuchni.

Nazajutrz, karetą czwórką skarogniadych zaprzężona, zajechała przed ganek Łaręcińskiego dworu. Mateusz siedział na koźle, klnąc na czem świat stoi.

— We łbach się temu poprzewracało — mówił do stojącego obok karbowego. — Karytą wlec do Tarkowic. Rozleci się pudło na kamieniach. Żeby choć szosy kawałeczek, żeby co... Same ino doły i wyboje.

— Zważajcie, Matysie, kole Bieliska, bo tam aby ino dróżka bez las wiedzie — rzekł karbowy. — Ciężko będzie styrma koźmi przejechać. Splątają się bestye i tyle!

— Niech ta młody kark skręci... — mruknął Mateusz. — Będzie mniej o głupiego!

Kostek tymczasem targował się z ojcem.

— Cóż ojciec myśli! że ja goły pojedę? — mówił, nakładając rękawiczki. — A niechby tak do preferka zaciągnęli, to co? Będę się dla ojca kompromitował?

— Nie dziwaczcie, Adamie — wtrąciła matka, a panna Jadwiga dodała:

— Że też ojciec tego nie rozumie.. Koszuś musi zaimponować...

Stary dał się wreszcie przekonać. Trzy sturublowe banknoty powędrowały do pugilaresu Konstantego.

Obcałowany, pożegnany, wskoczył do karety w najlepszym humorze.

— Niech ojciec będzie spokojny... — wołał, wychylając się z okna. — Będę tak przeciw pani choleryze gardłował, że jej się odechce w nasze strony zaglądać.

Gdy konie za bramą ku Tarkowicom skręcić miały, zawołał na woźnicę:

— Matys, bierz się na prawo. Pojedziemy do Tarkowic przez miasto.

I pojechali.

Ale komitet anticholeryczny bez udziału panów Sádzikiewiczów obejść się musiał. Konstanty po dniach paru powrócił do domu chory i bez pieniędzy.

Na zapytanie ojca mruknął gniewnie: że dyabli komitety jakieś powymyślali i z pewnością choleryę sprowadzą. Więcej od niego dowiedzieć się nie można było.

Mateusz milczał, jak grób. Lewe oko miał podbite i gębę napuchłą.

Konie wyglądały, jak po dalekiej podróży, zabiedzone, głodne.

— Mateusz obrok sprzedał, a koniska głód marły—rzekł przy obiedzie rządcą.

Na co Sádzikiewicz głową tylko pokiwał, bo w obec zmieniającej nakrycia Antośki, bał się odezwać. Od Antki do Walka, od Walka do Mateusza plotka dojsćby mogła i on, Sádzikiewicz, mógłby mieć kłopot.

Panna Jadwiga, posuwając rządcy półmisek, odezwała się z przyciskiem:

— Ojciec okropnie ludzi psuje.

— Istotnie!—potwierdził Kacperowski.—Chłop musi czuć pana nad sobą, bo inaczej lekceważy. Oni tu wszyscy począwszy od karbowego i ekonoma, za ręce się trzymają. Oczywiście na szkodę pańską. Ja choćbym pragnął nie wiele zrobić szkodę, bo wpływ mój niweczy niepraktykowana dobroć pańska.

— A co, nie mówiłam?—zawołała ucieszona Sádzikiewiczowa.—Jużes taki ciapajda, mój Adamie..

— Mamo!—jęknała Jadwiga, pociągając matkę za suknię.

— Czy to prawda, że p. dziedzic zamierza sadzawki na Osinku szlamować? To kosztowna rzecz!

— Ale musowa, panie kochający, musowa! Jakie tam stawy będą! A jak się zarybi, grosz rubla zrobi.

Rządca głową pokręcił.

— Nie zdaje mi się. Koszt będzie duży, a rezultaty wątpliwe. Kto tam będzie tych ryb na Osinku pilnował. Rozkradną.

— E, to się przypilnuje. W Osinku można eko-

noma osadzić. Postawi mu się chałupę, niech siedzi. Jak pan żniwa skończysz, zaraz się do tych sadzawek weźmiemy. Ale! Judka radzi, aby te poręby na Felkowiznie kupić. Wykarczowalibyśmy szmat ziemi i jakieby to się tam żyto rodziło! Gaj, panie kochający!

Rządca spojrział zdumiony.

— Judka radził? A to szachraj dopiero!—oburzył się. Przecież te poręby nie przyniosłyby nam żadnej korzyści. Dostęp do nich niemożliwy; gdzieby tam zwierzę gnać po takich górach i rozdołach.

— Albo to korpus niewytrzymały? Poradzą i woły i konie, zobaczysz pan!

— Szelma żyd!—mruknął rządcą. — Pan chyba dobrze się namyśli, nim to głupstwo zrobi. Łaręcin ma tyle ciężarów, strach byłoby nowemi go obarczać.

— Z tobą zawsze tak, Adamie!—rozniewała się Sádzikiewiczowa.—Byle wydawać pieniądze, byle szastać, bo cię swędzą. Jużes miał hałas od Pistulińskiego, naszego zięcia, żeś bez jego pozwolenstwa Łaręcin kupił.

— Ale moja mam...—przerwała Jadwiga z pośpiechem.

Rządca widząc że się na sprzeczkę zanosi, wyniósł się co prędzej. Sprawilo to taki skutek, że małżeństwo pokłóciło się na dobre.

— Utracysz jesteś, niedołęga!—krzyczała Sádzikiewiczowa.

— Ojciec chce nas z torbami puścić — jęczała

Jadwiga, a Sazdikiewicz, spoglądając na nie z góry, powtarzał:

— Gęsi, gęsi, panie kochający! I tak się zaciął, że w niespełna tydzień poręby na Felkowiźnie kupił.

Rozgniewało to Sazdikiewiczową i oburzyło Jadwigę.

Od pewnego czasu gospodarstwo interesowało ją żywiej i sama nawet niekiedy pomocnej dokładała ręką. Zdarzało się, że rządca spotykał ją, gdy wracała od krów dojenia, lub zbierała jarzyny w ogrodzie, czy smażyła owoce.

— Widzi pani, jaka to przyjemna rzecz gospodarstwo—rzekł jej dnia pewnego, gdy własnoręcznie układała na deseczkach krajanki sera umaczane w piwie.—Jabym się, na przykład, do miejskiego, próżniaczego życia nie zdał...—dodał z uśmiechem.

I ona, patrząc na jego krzepką postać, uśmiechnęła się.

— Pan wcale niepodobny do Kostka wyrzekł. I do innych nie...

Zarumieniła się. On się pochylił ku niej, chcąc deskę z ułożonymi krajankami odebrać, i dłonie ich się spotkały. Jadwiga drgnęła; Kacperowski to zauważył i sprawiło mu to przyjemność.

— Panienska zastawiała na mnie sidła i sama wpadła—pomyślał, i polechtało to jego dumę.

Przypomniał sobie, jak wyniosłe traktowała go dawniej, lecz czuł się do przebaczenia skłonnym, bo

Jadwiga taka, jaką była obecnie, pociągała go i z każdą chwilą zyskiwała większą jego sympatyę.

W wigilię Ś-go Ludwika burza przeleciała nad Łaręcinem, brzemienna piorunami, sypiąca gradem.

Sazdikiewicz, stojąc przy oknie, przyglądał się połamanym krzewom, obliczając w myśli straty, jakie w polu zrzuciła nawałnica; Sazdikiewiczowa wtulona w kąć kanapy szeptała pacierze, a gdy huk grzmotów zatrzęsł szybami, wybuchała skargą:

— Oj Adamie, Adamie, nie lepiej to było w Bąkach siedzieć. Z torbami wyjdziemy z tego Łaręcina.

Jadwigę pożerała obawa o rządce. Burza zaskoczyła go oczywiście na polu.

— Powinien ojciec posłać konie po p. Kacperowskiego — odezwała się, stając obok ojca przy oknie. — Przecież on dla nas pracuje. Niepodobna, aby podczas takiej ulewy powracał piechotą.

Ale Sazdikiewiczowi więcej żal było koni.

— Są tam drzewa przecie na polu — uspakajał córkę.—Przytuli się do którego i nie zmoknie. Rządca zresztą zwyczajny tego.

A Sazdikiewiczowa, klepiąc pacierze, jęczała:

— Jezus, Święta Maryo, żeby też po rządców konie jeszcze posyłać.

Na co p. Jadwiga wzruszyła pogardliwie ramionami i wyszła, trzaskając drzwiami za sobą.

Było już po dziewiątej, i wszyscy siedzieli przy wieczerzy, gdy nadszedł rządca.

— Cóż pan tak marudził? — spytał Sazdikiewicz. — Ot korpusy na półmisku stygną...

Przysunął mu półmisek smażonych karasi, chcąc wynagrodzić, uprzejmością, doznaną nieprzyjemność. Dowiedział się bowiem od ludzi, że rządca wrócił z pola przemoknięty do nitki.

Jadwiga w białym haftowanym fartuszkuz rozlewała herbatę. Od pewnego czasu było to jej stałym zajęciem. Podając filiżankę Kacperowskiemu, rzekła:

— Doprawdy, pan się tak dla nas poświęca... Ile to trudów gospodarstwo kosztuje. Co to stać na polu podczas takiej burzy i ulewy...

Kacperowski spojrział na nią zdumiony. Miała delikatne na twarzy rumieńce i bardzo łagodne oczy.

— To drobnostka, proszę pani odparł. — Burzy się nie lękam, deszczu tem mniej.

A korzystając z tego, że Sazdikiewicz posprze-
czał się o coś z małżonką, szepnął, pochylając się ku
pannie:

— Ale nieskończenie wdzięczny za troskliwość.

Mówiono potem o stratach, jakie grad poczynił. Sazdikiewiczowa twierdziła, łamiąc ręce, że był wielki, jak kurze jaja, Sazdikiewicz się sprzeczał, że jak orzechy laskowe, rządca upewniał, że objętością ziarnka grochu przypominał.

Jadwiga słuchała rozmowy z oczyma utkwionemi w rządce. W uszach brzmiał jej jeszcze tkliwy dźwięk jego głosu i kołysały do marzeń zasłyszane słowa.

— Bardzo sympatyczny i wcale przystojny — powiedziała sobie, kładąc się potem do łóżka z romansem George Sand w ręce.

Francuzka heroina powieściowa miała ją nauczyć sposobów i sposobików usidlenia młodego rządcy.

Ranek zastał ją jeszcze czytającą.

IV.

Mrok zapadał.

Pałac w Pistulinie stał cichy i ciemny wśród drzew ogołoconych już z liści.

Echo niesło ode wsi psów szczekanie, niekiedy turkot zajązdnionego wozu lub skrzywienie żorawi u studni.

Deszcz mżył od rana powolny, drobny, ale ciągły.

Sabina z twarzą w dłoniach ukrytą, siedzi przy łóżeczku córki.

Dziewczynka już śpi, więc pani Pistulińska nie kazała zapalać światła może i dla tego, by służba zaplakanych oczu nie dostrzegła.

Cztery miesiące upłynęło od wyjazdu Sewera zagranicę, cztery długie, jak wieczność, miesiące oczekiwania, niepewności, tęsknoty!

— Jadę z Kuropatnickim do Drezna, dowiedzieć się o spadku, o którym ci mówiłem — rzekł jej dnia pewnego i pojechał.

A potem przysyłał jej niekiedy krótki obojętny list, w którym żądanie pieniędzy powtarzało się prawie zawsze. Posyłała oczywiście; ale i notowała każdą wysłaną sumkę, i doszło do tego, że koperta z zagranicznymi markami przejmowała ją trwogą. Sewer wydawał dużo, rządca pozostawiony sam sobie, zamiast pola i inwentarza pilnować, wiecznie coś budował; naprawiał, nie żałując oczywiście, pieniędzy.

Ten i ów z życzliwych zwracał Sabinie uwagę. Śmiali się wręcz i z rządcy i z Pistulińskiego.

Budynki, jak cacka, imponowały zdaleka, a pola nigdy na cz. s nie były obsiane, ni siano w porę skoszone, lub żyta sprzątnięte.

— Jeszcze lat kilka takiej gospodarki, a Pistulin dyabli wezmą—mówiono.

Sabina powtarzała sobie toż samo.

Nie było jednak na to rady, bo Pistulińskiej nie mającej pojęcia o gospodarstwie nie słuchał nikt, a Sewer fruwał po świecie swobodny, jak ptak.

— Wracaj, na Boga! Wracaj jak najprędzej—napisała mu w ostatnim liście zmęczona utarczkami ze służbą, znękana interesami, których nie rozumiała, a które waliły się na jej głowę.

Nie odpowiedział jej dotąd, więc do wszystkich udręczeń przyłączyła się jeszcze rzetelna o niego troska.

Dziś szczególnie nękał ją niepokój.

Szare niebo listopadowe, deszcz dzwoniący o szyby, wszędzie, g'zie okiem rzucić, błoto i nagie drzew konary doprowadziły ją do takiego stanu rozdrażnienia, że chwilami ścisnęła czoło dłońmi, bo zda wało jej się że oszaleje.

— Jeśli i teraz jeszcze nie przyjedzie, to chyba wypadnie mi samej jechać po niego—rzekła sobie i to jej ulżyło.

Oczywiście, że pojedzie. Sewerkę zostawi u Krystyny...

Pochyliła się, przyciskając usta do tłustej rączki dziecka, nieruchomo spoczywającej na kołdrze.

— Biedne ty moje maleństwo! — wyszeptwała z boleścią — Przyszłość twoja ciemna i serce ojcowskie dla ciebie zimne!

Na podwórzu wszczął się hałas. Psy poczęły ujadać, słychać było tętent galopującego konia.

Sabina zerwała się, biegnąc ku oknu.

— To Sewer... to od Sewera... — targnęło jej sercem.

Wybiegła na ganek. W kaszmirowym szlafrocuku, drżąca, wśród mgły jesiennej i chłodnego deszczu stanęła wpatrzona w ciemność nocy, łowiąc uchem szelest zbliżającego się jeźdźca.

Otwarto bramę wjazdową, służący ukazał się na ganku.

— Biegnij, spytaj! — mówiła gorączkowo Sabina.—Posłaniec konny, może list, depesza...

Sługus wzruszył ramionami i krokiem wolnym, miarowym odszedł ku bramie.

— Kto to? — spytał siedzącego na koniu chłopaka.

— Pismo. Musi pilnie, bo na kopercie stoi, coby duchem odwieść.

— Dawaj! Przywiąż szkapę u furtki i chodź za mną.

— Janie, pośpiesz się...—odezwał się drżący głos Pistulińskiej.—Wiesz przecie, że czekam...

— A to czekaj!—mruknął.—Nóg przecie nie polamię. Widzisz ją, jaka to!

I szedł wolniej jeszcze. W Sabinie mimo wieczornego chłodu i kropli deszczu, osiadających jej na włosach i rzęsach, krew kipiała wrzątkiem.

— List jest, proszę pani—rzekł, wytrzymawszy ją, zuchwały sługus. — Czy posłaniec ma zaczekać, czy pani dziedziczka zaraz zapłaci?

— Zaprowadź go do kuchni i każ mu dać kolacyę—odparła szybko, znikając we drzwiach.

— Światła, prędzej światła!—wołała rozdzierając kopertę, uśmiechając się sama do siebie.

— Oczywiście pisze o konie do stacyi i dla tego umyślnym kazał odesłać...—myślała.—Drogi, kochany Sewer! Nareszcie, nareszcie! I poco ona się tak dręczyła, przypuszczała Bóg wie co! Ale Sewerki nie pozna. Tak wyrosła!

Światło lampy błysnęło wesołym blaskiem.

Sabina wyjęła z koperty arkusik gęsto zapisanego welinu. Przeczytała raz, drugi, nic nie pojmując.

Plomyki ogniste skakały przed jej oczyma, litery wydawały się jakimiś nieforemnymi zygzakami, zesztyniały palce, trzymające papier.

Po chwili krzyk się rozległ. Krótki, ostry, zda się ostatni wykrzyk człowieka któremu na krawędzi przepaści usunął się głaz, gdzie stopa jego znalazła oparcie. To ból ją schwyił nagły a wielki i krzykiem wybiegł na usta. Doznała takiego uczucia, jak gdyby ktoś gorące żelazo zatopił w jej piersi.

Więc zbladłemi wargami chwyciła powietrze, pewną będąc, że to śmierć idzie ku niej groźna i ciężka, bo przecie zostawiała dziecko, które snadź krzykiem rozbudzone, rozplakało się...

Ogromnym wysiłkiem woli, powlokła się do stolika, gdzie stała karafka z wodą. Chłodny płyn orzeźwił ją, żar z piersi ustąpił, a natomiast porwały ją dreszcze i przyszedł taki sił upadek, że pokój cały i sprzęty i ona sama kręcić się poczęła w jakimś zawrotnym wirze.

A potem nic już nie pamiętała.

Ludzie się koło niej kręcili, błyszczwały światła, Sewerka wołała na nią: „Mamo, mamol“—i ktoś z zaciśniętych jej palców usiłował papier dobyć. Ale nie dobył. Bo oto teraz, gdy bledy świt zajrzał w okna, rozwichrzone jej myśli skupiać się zaczęły, pracować, aż błysk jaśniejszy umysł oświecił i rozszerzone źre-

nice wżarły się prawie w świstek papieru, zmięty kurzowo w ręce.

— Sewer! — wyszeptala z jękiem i chciała powiedzieć: „podły“ — ale nie powiedziała.

Przycisnęła natomiast zbladłą twarz do poduszki i rozplakała się.

Łzy przyniosły jej ulgę. Po chwili zerwała się z łóżka, wsunęła nogi w pantofle i, narzuciwszy szal na ramiona, podeszła do okna.

Ostrożnie, przy niepewnem jeszcze świetle poranka Sabina, wygładziła papier i poraz wtóry odczytała list Kuropatnickiego. Czytała długo, uważnie.

Źrenice miała suche, rozpalone, ale burza wewnątrz niej przycichła, bo chciała wyrobić sobie sąd jasny i trzeźwy.

Kuropatnicki pisał:

„Kochana kuzynka wybacz, ale powodowany życzliwością dla niej i przyjaźnią dla Sewera, postanowiłem zwrócić się do kuzynki i taktowi oraz rozsądkowi jej poddać sprawę całą.

„Sewer — wybacz mi pani brutalną może szczerłość moją — Sewer jest na drodze do ruiny majątkowej i do ruiny moralnej. Wpadł w siłę dla kobiety chciwej i złej, która potrafiła pojąć wpływ nad nim i umie ująć w karby tę lekkomyślną, nieokiełzaną jego naturę.

„Sewer wracać do Pistulina nie myśli. Prócz pięknej niemki, wszystko dla niego zubożętniało. List pani ostatni leży dotąd nierozpieczęto w rękach.

„Panna Mina Libretz mieszka sama i utrzymuje się z lekcyj śpiewu i muzyki. Że jednak lubi wygodne życie i nie nawykła niczego sobie odmawiać, chętnie pomoc bratnią od przyjaciół, przyjmuje.

„Znaczna część dochodów z Pistulina, przepada w jej zawsze pustym worku, co nasuwa myśl, że wreszcie i Pistulin cały przepaść w ten sposób może. I oto dla czego piszę do pani. Sewer jest tak zakochany, że wspominał o rozwodzie. O ile mi się zdaje, pragnie, abym panią wybadał. Cóż pani o tem myśli? Może zbyt szorstko przedstawiłem kwestyę, ale szorstkość ta właśnie niech pani powie o wstępie, jaki uczuвам do pośredniczenia w podobnej sprawie.

„Czy tak, czy owak, coś przedsięwziąć trzeba. Niech pani Sewera do powrotu zmusi, albo — ale to już pani rzecz...”

Złożyła list automatycznie i zamysliła się. Właściwie ani jednej myśli sformułowałyby trzeźwo nie potrafiła, bo było to raczej jakieś sparaliżowanie, czy omdlenie mózgu, który całą sprężystość utracił.

— Sewer, Sewer! — szeptały sine prawie jej usta, pociemniałe oczy pobiegły gdzieś w dal rozpaczliwie smutne. A potem objęła ją gorąca litość nie nad sobą, ale nad nim. Okiem jasnovidzącem spojrziała w przyszłość i zdrętwiała.

Znajac lekkomyślność Sewera, wiedziała, że ta kobieta gdy zechce, wyssie z niego pieniądze, honor, życie...

Co począć, jak go ratować!

Trzeba było myśleć, coś postanowić, działać, ratować i mienie i Sewera i dziecko tak wcześniej na sieroctwo skazane. Ale jak? Dokąd się udać po radę, co przedsięwziąć?

Nie zwierzyłaby się za nic rodzicom, ani Jadwidze. Złorzeczyliby mu, potępiali, a onaby tego nie zniosła. Więc spróbuje radzić sobie sama a w ostateczności powiedziała by tylko Krystynie.

Przypomniała sobie pocziwą twarz, nienawidzonego do niedawna szwagra, prawość jego, rozsądek i westchnęła.

Jakże spokojnem i zazdrości godnem wydało jej się życie Krystyny.

„Łaskawy kuzynie — pisała w kwadrans „potem do Kuropatnickiego — w odpowiedzi na „życzliwy list jego donoszę, iż z cierpliwością „oczekiwać będę upamiętania się i powrotu mego męża, któremu do śmierci żoną być ślubo-

„wałam. Niech więc nie myśli o rozwodzie. „O ile mi się zdaje—bo do niekompetencji w tej „kwestyi przyznać się muszę — trudno byłoby „Sewerowi bez mego zgodzenia się, otrzymać „tyle pożądanego rozwód.

„Mając dziecko i przyszłość Sewera na „względzie, nie ustąpię!

„Zarząd nad gospodarstwem obejmuję sama. Bóg i pragnienie uratowania dla tych „dwojga chociaż resztek mienia, nauczą mnie tego, co istotnie dotąd obcem mi było.

„Niech pan powie Sewerowi, żeśmy dotąd „tyle kapitału szarpnęli, iż chcąc ratować Pistulin, trzeba o oszczędności pomyśleć.“

Przeczytała i list złożyła.

Palily ją łzy pod powieką, ale trzymała się mężnie. Dopiero, kiedy list do koperty schować miała, zdjął ją żal ogromny i wybuchnęła łkaniem.

Dotąd pisała zawsze do męża: „Mój Sewer, mój ukochany...“ Wolno jej było mówić z nim o swej tęsknocie i o swej dla niego miłości, a dziś, dziś tak się wszystko zmieniło, że on stał się dla niej prawie obcym i nie śmiałyby już pisać do niego, jak dawniej.

On, jej mąż, jej własność!

Jakiemże prawem zabrała go jej ta... ta... Wspomnienie Miny Libretz, przyprowadziło ją o obłąd

niemal, i zdawało jej się, że gdyby teraz miała ją tu przed sobą, zadusiłaby własnymi rękoma.

Uspokoiwszy się nieco, kazała przywołać rząd cę

Kurkowski nadbiegł szybko zaintrygowany, nie-spokojny. Czuł w powietrzu zmiany jakiegoś, coś nieokreślonego, co go nabawiało trwogi, bo zbyt dobrze było mu w Pistulinie. Jeden rzut oka na twarz Pistulińskiej trwogę tę powiększył.

— Pani dziedziczka napędziła nam strachu — rzekł, kłaniając się.

— Zwymyślałem Jana, że mi do oficyn znać nie dali, bo trzebaż było po lekarza posłać! Jakże się pani dziedziczka dzisiaj czuje?

Wpatrywał się w nią bystro, bo w miarę jak mówił, co raz mocniejszy rumieniec bladą twarz Pistulińskiej oblewał.

— Już się czegoś domyślają — myślała — już coś węższą...

Obezwładniał ją strach przed domysłami służby i upokorzeniami, jakichby jej nie szcędzono, gdyby się dowiedziano, że mąż porzucił ją...

— Otrzymałam wczoraj list od męża — odezwała się z wysileniem, by rządca drżenia głosu nie posłyszał. — Wypadnie mi pewno samej do Drezna pojechać, w interesie spadku, który tam męża Bóg wie, jak długo jeszcze zatrzyma. Widocznie przeziębilałam się wczoraj, wybiegłszy w lekkim odzieniu na ganek; dziś czuję się zupełnie dobrze i za troskiwość dziękuję.

Podeszła do stołu i, padłszy na fotel, bo nogi pod nią drżały, wskazała krzesło rządcy.

— Niech pan Kurkowski siądzie. Mąż prosi, abym mu szczegółowo o wszystkich interesach Pistulina doniosła. Projektuje przytem pewne zmiany...

— Jakie zmiany, pani dziedziczko? Bo to tak z oddalenia zmiany projektować łatwo, ale tu z okolicznościami liczyć się trzeba.

Sewer uczynił go samowładnym w Pistulinie i do rządów jego nie wtrącał się... Zkądże więc teraz...

Sabinę odezwanie to zbiło już z tropu. Dotąd, zafukana przez męża, nie wtrącająca się do niczego, nie wiedziała wręcz, co powiedzieć, od czego zacząć.

— Ale bo uważa pan... — mąż mój prawdopodobnie kilka jeszcze miesięcy zostanie zagranicą. Cóż więc dziwnego, że chciałby, że pragnąłby...

— Z oddalenia rządzić Pistulinem? O, to się nie uda, pani dziedziczko! — zaśmiał się rządca.

Ją gniew począł unosić.

— W każdym razie — ozwała się już ze stanowczością pewną — żądaniu jego trzeba zadość uczynić. Niech pan mi przyśle książki rachunkowe i opowie, w jakim stanie znajduje się obecnie gospodarstwo w Pistulinie. Przykrzy mi się bez męża i radabym coś robić..

Rządca ramionami wzruszył.

— Co jest do zrobienia, to się robi, proszę pani. Dziedzic mi Pistulin do uporządkowania oddał, no

i chyba z tego błota, w jakim był, oczyściłem go. Pani dziedziczka chyba sam wie, com ja tu zastał. Tedy nie chwalcę się, wszystko moją głową pokierowane, i gdyby nie ja...

— I nie mój posag... — wtrąciła Sabina, bo ją sposób obejścia się rządcy irytował.

— A no prawda! Ale pieniądz bez głowy sam nie poradzi. Ja tu cudów, pani dziedziczko, dokonywałem. Tedy spojrzeć proszę w około. Ten okólnik gospodarski to tylko na wystawę posłać. Na parę wiorst wokoło budynki imponują...

— Przyznaję. Ale budynki dużo wzięły, a nie oddały. Mąż wątpi, czy dochody przewyższają rozchód Pistulina i dla tego...

— Pani dziedziczko! — przerwał rządcą śmiało — Pistulin tyle nie daje, żeby sumy, wybierane wciąż z kasy przez pana dziedzica, wyrównać. Ot i wczoraj miałem depeszę z Drezna. Pan dziedzic żąda tysiąca rubli... Czy to się tak z rękawa sypie?

Sabinie krew do głowy uderzyła.

— Wiem, pisał mi mąż... jękać zaczęła — a czy pan ma pieniądze w kasie?

— Nie mam. Skądby były... Teraz pora najgorsza. Miałem właśnie zamiar do pani dziedziczki udać się, czy nie możnaby podnieść tych ośmiu tysięcy, które na Wichlinie mamy ulokowane? Z Pistulina aż do zbiorów wszystkie soki wyssane. Na dom, na służbę, a w szczególności na wywindykowanie te-

go spadku w Dreźnie, pieniądze płyną i płyną... Wszystkie zapasy gotówki z lata poszły.

— Co pan mówi! Byłoby to prawdą, abysmy już te kilkanaście tysięcy tu i owdzie rozlokowane odbierać mieli?

Strach ją ogarnął i, zapomniawszy o wszystkim, patrzyła na Kurkowskiego pełnemi niepokoju oczyma.

— Tak jest, pani dziedziczko. Niech się pani dziedziczka nie gniewa, ale panu się wydaje, że my tu siejemy dukaty, obfity potem plon zbierając. Pani dziedziczka sama wie, ileśmy posła'i w tym roku do Drezna. Z wiosną chciałbym koniecznie zburzyć te czworaki na górcie i nowy dom dla służby postawić. Ta stara rudera psuje tedy symetryę, a dalibóg nie wiem skąd tedy pieniądze wezmę.

— Pomyślmy o tem później... — rzekła Sabina przybita, ogłuszona tem, co słyszała. — Tymczasem trzeba nam bardzo oszczędzać i starać się, aby resztek kapitału nie ruszać. Niechże pan teraz nic bezemnie nie robi, bo ja się muszę Pistulinem zająć inaczej. Jam z tego rada, bo dobrze jest, jeśli się człowiek czego nauczy, a zresztą, jak już powiedziałam, sprzykrzyła mi się bezczynność.

Kurkowski nieco ironicznie się uśmiechnął.

— Pani dziedziczka niezwyčajna gospodarować, to się i to rychło uprzykrzy — rzekł. — Od rana do wieczora haru, haru...

— Nic nie szkodzi! — zmusiła się do uśmiechu Sabina i wyciągnęła do rządcy rękę:

— Niech mnie pan uczy i pomaga, dobrze? Skoro męża niema, na nas spada odpowiedzialność za wszystko, co się tu dzieje, nieprawdaż?

Rządca ją w rękę pocałował.

— Tedy jestem do usług pani dziedziczki każdego dnia i o każdej chwili. Choć nie widzę potrzeby, żeby się pani fatygowała, ale skoro wola... Do mnie należy słuchać... Czy pani dziedziczka wyśle panu pieniądze? Pan pisał, że jeśli gotówki brak, żebym z kilka morgów lasu temu szachrajowi Bauerfeldowi sprzedał.

— Co takiego?

— A tak. Bauerfeld ma łaski u pana dziedzica. Jeszcze muie dotąd wściekłość dusi o te kilka morgów które sobie bestya żyd z przeproszeniem najpiękniejszego starodrzewu wykrajał.

— Gdzie? Kiedy? Nic o tem nie wiem.. Czy już wszystko zapłacili? — spytała, nie mogąc pokonać drżenia.

— Wszystko. Pan dziedzic przed wyjazdem odebrał. Ale że to pani dziedziczka nie wiedziała...

— No, w każdym razie nie chciałbym być w skórze naszej pani — myślał potem, wracając do oficyn.

— Dalibóg, pasztecik taki mąż. I to jej pieniądze, jej posag! Ha! Co chcieli to mają, ale starym w skórę, starym!

A Sabina po jego wyjściu ścisnęła dłońmi rozpalone czoło. Teraz już jasno widziała przed sobą prze-

paść, ruinę! Jednocześnie, jak błyskawica, przemknęła jej przez głowę myśl o tem, jak jest bezsilna i jak niewiele uczynić może przeciw nadużyciom Sewera, skoro mu cały posag bez zastrzeżeń oddano. Żal do rodziców wezbrał w niej z taką siłą, iż prawie zło-rzeczyć im zaczęła.

— Ojciec wszystkiemu winien, ojciec mnie zgubił i Sewera i to dziecko biedne, bo należało przecie intercyzę spisać i ograniczenie jakiegoś funduszu na moją stronę uczynić — desperowała. Jak tu teraz zapobiedz nieszczęściu, kiedy ręce do wszystkiego związane. Sewer oczywiście kpi sobie teraz ze mnie, a tamta, tamta niegodziwa naigrywać się ze mnie będzie i kraść moje pieniądze, moje pieniądze...

Zatkała chustką usta, by nie krzyczeć z bólu, zazdrości, nie wybuchnąć płaczem ogromnym. Ujrzała przepaść rozwartą przed sobą i przed tą dzieciną niewinną, która budziła się właśnie ze snu różowa, uśmiechniona i wyciągała do matki rączyny.

W kilka godzin potem do powozu, stojącego przed gankiem, służba wynosiła pakunki.

Na ganku Sabina gotowa już do drogi, wydała ostatnie rozporządzenia i łzawemi oczyma patrzyła na Sewerkę, czepiającą się jej kolan.

Wyjeżdżała do Warszawy zasięgnąć rady adwokata, lecz obawiała się narażać dziecko na trudy podróży.

— Ja też pojade, ja też...—Ikała Sewerka i zanosiła się płaczem, który ranił serce matki.

— Pamiętajcie o dziecku, Kwiatkosiu — rzekła do starej piastunki błagalnie i, wyrwijąc się gwałtem prawie dziecku, do powozu wskoczyła.

Konie ruszyły szpalko, minęły budynki i chaty wioski, przebiegły most na rzeczce i skręciły traktem ku lasowi, a wzrok Sabiny ścigał z wyteżeniem niknące w oddali wierzycki pałacu.

Tam został jej skarb jedyny, jej wszystko!

Po raz pierwszy rozłączała się z córką i w zmęczonym jej umyśle powstawać zaczęły przypuszczenia jedne od drugich straszniejsze!

Zmrok już zapadał, gdy wjechali do Bąków. Do stacyi kolei było jeszcze przed nimi mil trzy z okładem, więc woźnica zwrócił się do pani, czyli nie należałoby koniom „wytechnąć“ cokolwiek.

— To już lepiej w Poddębicach — odrzekła, bo gdy ujrzała Bąki, tak ją wspomnienia pochwyliły, że uciec ztąd chciała co rychlej.

Przejeżdżali właśnie przez rynek.

Pierwsze piętro w dawnej kamienicy Sadzikiewiczów oświetlone, w sklepie na dole widać szlafmycę Szulca i cienki, długi nos Szulcowej. Fiszel, jak zwykle, stoi na czatach we drzwiach sklepowych, tylko zamiast sąsiada Jaworzewskiego, ma teraz skład gwoździ po prawej stronie.

Sabinie przeszłość żywo uprzytomniła się w pamięci. Ilez razy przechodziła tędy z Sewerem, a tam w oknie na pierwszym piętrze, w tem oknie nad sklepem pocałował ją poraz pierwszy w rękę.

Powóz toczył się wolno po nierównym bruku, po twarzy Sabiny łzy ciekły. Tu wszystko jak było, lecz co się z nią stało? Jak jej zapłaciła rzeczywistość za pełne pychy marzenia?

I dla tego domu, w którym się urodziła, dla tych znieawidzonych niegdyś Bąków, gdzie jej tyle lat spokojnych upłynęło, uczuła coś, jak gdyby wdzięczność. To, czego tu doświadczała, nie pozostawiło za sobą gorzkich wspomnień.

Dobrze jej było u rodziców, dobrze w tej cichej mieście gdzie skala małych pożądań nie sprowadza okropnych rozczarowań, gdzie nawet na przedmieściach, w lichych parterowych domkach, cieplej jest i weselej, niżeli w gorąco, pożądanych przez nią niegdyś pałacach.

Przy zbiegu ulic Źródlanej i Warszawskiej uderzył jej wzrok błyszczący napis i wielkie okna wystawowe rześisto oświetlone. „Bazar wiejski!“ — przeczytała, a poniżej: „Kazimiera Jaworzewska.“

Zdumiała się...

Był to najokazalszy i najbogatszy sklep w Bąkach. Przejeżdżali właśnie mimo i Sabina po przez lustrzane szyby widzi wyraźnie czarnowłosą głowę Kazi, pochyloną przy kasie i kilka dziewcząt uwijających się w sklepie.

Dowiedzionem jest, że człowiek lubi rany swoje rozkrwawiać.

Sabina porywnywa życie Kazi ze swoim i spażmatyczny śmiech wykrzywia jej usta. Wzgardzona

przez męża, odepchnięta przez ten świat wyższy, do którego dążyła, dźwigać musi teraz kajdany swoje długo, bardzo długo może, póki śmierć głazem zapomnienia nie przywali wszystkich jej udęczeń.

I porwała ją nagle chęć szalona zobaczyć Krystynę, popieścić jej malca, którego jeszcze nie знаła, ogrzać się, utulić przy poczeiwych sercach krewniaków.

Zatrzymano się przed sklepem Koźuchowiczów. I tu szyld widniał nade drzwiami, grubo złożony, po stronie lewej przez szerokie szyby płynęły strugi światła, uwijali się robotnicy, po prawej gdzie piękne, białe wisiały firanki, widać było lampę u sufitu zawieszoną i stół do wieczerzy nakryty.

Jan niechętnie zląził z kozła.

— Wojciechu, a co? Już się teraz nie wstydzi szwagra, choć heblem drzazgi struga — mruknął do woźnicy.—Coś mi się widzi, że ją pan w trąbę puszcza. Okrutnie ci lamentowała po wczorajszym liście.

— Co pani dziedziczka każe? — spytał, stając przy drzwiczkach powozu.

— Jedźcie do zajazdu i niech konie wypoczną — rzekła.—Za godzinę niech Jan przyjdzie do państwa Koźuchowiczów. Może dziś wcale nie pojedziemy.

— Rozumiem.

Otworzył drzwiczki powozu i, gdy Pistulińska zniknęła w sieni, roześmiał się.

— Od stolarza zaczyna, to na szewcu skończy. Ładny kwiat! Że też to się pan ożenił z taką... Phi!

Sabinę zaraz u progu powitał okrzyk pełen zdumienia i radości.

Nim się opamiętać zdołała, Krystyna pochwyciła ją w ramiona, Koźuchowicz całował ręce.

— A niechże ci Bóg płaci, żeś sobie o nas przypomniała—do łez wzruszona mówiła Koźuchowiczowa.

— To dopiero niespodzianka! — wykrzykiwała co chwila, rozbierając siostrę.— Jakżem ci też wdzięczna! Ale czemuś Sewerki nie przywiozła, niedobra?

Przysunęła do stołu fotel, rozjaśniła lampę, kręciła się po pokoju, jak wiewiórka, usługując Sabinie.

— Siadaj, moja złota, moja kochana... Stachu—zwróciła się do męża, patrzącego na nią z uśmiechem—biegnij prędko do Stefka i niech mu Walerka włoży tę różową z włóczki sukienkę. Wiesz? Tę z zębami. Prędszej, prędszej, mój złoty! Nie może się przecie cioci zaprezentować, jak brudas.

Sabina chwilowo zapomniała o swoich troskach. Wzrok jej ślizgał się po twarzach obojga, pięknych przedewszystkiem pogodą i zdrowiem.

Krystyna wypełniała, rozrosła się wspaniale i w jasnej sukni czyniła wrażenie świetlanego, letniego poranku. Koźuchowicz brodę zapuścił, spoważniał, jak na ojca półrocznego syna przystało, ale oczy mu się skrzyły weselem i tem wewnętrznym zadowoleniem, jakie bije z rysów człowieka, gdy mu się szczęście uśmiechnie. Gdy wyszedł spełnić polecenie żony, Sabina rzekła:

— Piękny mężczyzna ten twój Stach, Krysiu, a patrzy na ciebie, jak gdybyście się wczoraj pobrali.

Krystyna uśmiechnęła się radośnie.

— Trafnieś odgadła. U nas wciąż miodowe miesiące. A cóż Sewer? Kiedyż wraca? — pytała niespokojnie, wpatrując się w Sabinę. — Mówiłam już nieraz Stachowi, że będąc tobą, wyrzekłabym się raczej spadku, niżeli obecności męża. Ileż to miesięcy odkąd wyjechał? Doprawdy, że to niedobrze, gdy się tak małżeństwo rozłącza.

I całowała Sabinę, kłopotując się, czem gościu takiego przyjmie, wystawiała z kredensu coraz inne przysmaki.

Gdy Koźuchowicz wszedł z ustrojonym odświeżeniem Stefką, oczy jej tryskające wesołością stały się nagle głębokie i dziwnie słodkie. Wyciągnęła do syna rękę.

— Cacy, cacy, Stefuś... — szczebiotała a i głos jej miał teraz głębsze, słodsze brzmienie. — Ukłoń się cioci. Dia, dia!

Lecz chłopca intrygowała tylko broda ojca.

— Tia, tia, tia! — swiergolił, jak ptak, zatapiając tłuste rączki w gęstwinie jego włosów.

— Nad wiek mądre dziecko i bardzo ładne! — chwaliła szczerze Sabina, i oczy jej łzami zaszyły, bo wspomniała Sewerkę.

Stefuś z kolei uczył ją ciotkę kląskiem, wsunął jej paluszek do ust, a potem pili herbatę z jednej filiżanki, i znów chwalono dowcip jego i mądrość.

— Moja Sabciu, czemu ty nic nie jesz... — martwiła się Krystyna. — Południca wcale nieźle przyrządzona, bo mam dobrą kucharkę. Masz tu i ulubione słodyczy, ale zjedz pierwej kawałek mięsa... Teraz dopiero widzę, jakaś ty mizerna. Tak wyglądasz, jakby po chorobie. E! muszę napisać do Sewera, żeby wracał. Nie godzi się żony na tęsknotę skazywać.

Sabinie słowa te sprawiały ból ogromny. Świeża jeszcze rana bólem piekła, a tu trzeba było okazywać się swobodną, wesołą. Nie wytrzymała jednak, i, gdy Krystyna, która o wyjeździe na noc Sabiny słuchać nie chciała, wprowadziła ją do sypialni, wybuchnęła długo powstrzymywanym łkaniem. A potem z błyskawicami w oczach, z pałającymi policzkami opowiedziała wszystko Krystynie. Gdy wypadło jej wymówić imię Miny Libretz, zbladła okropnie i przycisnęła dłonią serce. Czowała tam ból nad bóle.

Krystyna, z załamaniem rękoma stojąc na przeciw niej, to bladła, to czerwieniała na przemian.

— Jezus, Marya! Czy to możliwe! Czy to nie sen jaki... — powtarzała i chciała zrywać męża, wyprowadzić go do Drezna, aby z rąk awanturnicy wyrwać Sewera.

Długo w noc rozmawiały, radziły, wdychały.

Gdy u Fary zadzwoniono na prymaryę, powóz Pistulińskiej gotów do drogi stanął przed domem Koźuchowiczów.

On sam, w futrzanej algierce, całował malinowe usta żony i widać było, iż trudno mu się z nią rozstać.

— Bądź spokojna!—powtarzał. — Najlepszego adwokata weźmiemy i jakoś się to wszystko wyklaruje.

— O Sabinie pamiętaj!—prosiła ze łzami, a potem, gdy się najmniej tego spodziewał, schyliła się i pocałowała go w rękę.

— Dobry!—szepnęła.—Kochany!

Wiedziała, że i warsztat bez opieki zostawiał, i z nią i z dzieckiem ciężko mu było się żegnać, a jechał jednak, by siostrę jej otoczyć opieką, dopomódz.

W godzinę po ich wyjeździe, Krystyna bryczką pocztową jechała do Pistulina. Przyrzekła bowiem Sabinie zabrać do siebie Sewerkę.

V.

Święta Wielkanocne wcześniej w tym roku wypadły.

W Wielką Sobotę w Łaręcinie zastawiono okazałe święcone. Spodziewano się przybycia Pistulińskiej.

Krystyna to namówiła siostrę, by odwiedziła rodziców, u których, tłómacząc się oddaleniem i trwogą o dziecko, dotąd nie była.

Krystyna, miała szczerą ochotę pojechać także, ale się lękała, aby rodzicom lub Jadwidze nie sprawić przykrości.

— Tam pewno wielkie państwo—mówiła do męża—a takbym pragnęła Stefka naszego rodzicom pokazać.

— Pokażesz go jeszcze, da Bóg! — perswadował, gładząc ją po aksamitnym policzku. — Kto wie, czy się rodzice jeszcze kiedy na dewocję do Bąków nie przeniosą. Warsztat się do oficyń wyrzuci, a tę połowę domu dla nich oczyścimy.

Popatrzyła na męża szeroko rozwartą zrenicą.

— Bój się Boga, Stachu, skądże ci to przyszło? Ty chyba coś wiesz...

— Widziałem się z Kacperowskim — rzekł. — Kolegowaliśmy przecie... Mówił, że Łaręcin, jeśli do sprzedaży ojciec nakłonić się nie da, rozleci się w strzępy. Ojciec oczywiście chciałby jak najlepiej, ale to tak, jakbyś mnie we frak i żaboty ubrała i lwem salonowym być kazała. Do czego już kto nie stworzony, to trudno. I z Kostkiem źle. Janek powiada że strasznie hula. Wyjechał żydom kieszenie weksłami, próżniaczy się i po mieście wałęsa. Jedna tylko pono Jadwisia chętnie się do pracy bierze. Janek bardzo ją chwali.

Zdumiała się Krystyna.

— No, no! Dziwy!—powtarzała, ale miała przytem minę bardzo zmartwioną, bo nie przypuszczała, aby z Łaręcinem i z Kostkiem było tak źle.

W wielką sobotę w Łaręcinie już od rana chłopak kredensowy, do pomocy Janowi dodany, stał u bramy wjazdowej na posterunku.

Gościniec szedł prosto ku lasowi, więc chłopiec miał polecenie, gdy się tylko karetka ukaże, oznajmić duchem we dworze.

W nieobecności Konstantego, Sadzikiewicz sam powitalne przyjęcie obmyślił. Służba cała od dziewczek z czeladnej poczawszy, w odświętnych strojach oczekiwania miała na ganku, a fornale i parobcy trzaskaniem z biczków zmanifestować swój współudział.

— Po co ojciec te szopki wyprawia?—dąsała się p. Jadwiga.—Cóż to Pistulińska księżna jaka udzielną, aby ją z takimi honorami witać?

Sadzikiewicz z politowaniem na córkę popatrzył.

— Korpus w herbie i książęta ma, nie bój się! Takie famelianty, jak u pana zięcia, to nie byle co... Każdą godność należy uszanować.

Potem zburczał żonę, że święcone było skromne, i chciał do miasta po duży, z wieżyczką tort posłać, „bo Pistulińska tego zwyczajna“.

— Nie wtrącaj się!—odparła mu na to rozgniewana pani Brygida.—Wydatki takie, że ledwo głowa nie pęknie, a jemu się tortów zachciewa. Tyle jest wszystkiego, żeby się trzydzieści osób najadło, a że do ciebie nikt nie przyjedzie z wizytą, to wystarczy.

Odprowadził ją na bok.

— Ale bo uważasz, Brygisiu, kalkuluję tak sobie, żeby od Sabei pieniędzy pożyczyć—rzekł cicho.— Mam od żyda brać, wolę od swego. Choćbym nawet Pistulińskiej procent zapłacił, bo to ona wyrachowana jest i skrupulatka, aleć zawsze korpus swój i nie zdarłby tyle, co żyd.

— Jezus, Święta Maryo!—krzyknęła Sadzikiewiczowa—tośmy już na takich żebraków zeszli! O, ja nieszczęśliwa! Mówiłam, prosiłam: nie szastaj, ludzi nie psuj, z groszem się licz... Ach, ty Adamie, Adamie, jak się ty sądu Boskiego nie boisz! — szlochała już teraz na dobre.

— Cicho, nie krzyczże tak! — prosił, wskazując drzwi do sąsiedniego salonu otwarte, gdzie Jadwiga przy pomocy pokojówki zawieszała firanki.

— Co to nie krzycz! Będę krzyczeć, bo to jest rozbój, kradzież, utracyszostwo—nic więcej!—dowodziła rozplamieniona.—O mój Boże, mój Boże! Tom się pociechy doczekała. Niedługo z torbami pójsę na żeby przy takim niedołędze, przy takiej gospodarce!

— A niechże cię najjaśniejsze! To korpus ma gębę wyprawną...—zawołał, nie panując już nad sobą Sadzikiewicz.—Jakośmy stracili, to razem, jakośmy źle gospodarowali, to także razem. Rozumiesz? Oszałała baba!

Schwycił kapelusz, laskę i uciekł na podwórze.

— Głupstwom spółdził, zem powiedział!—wy-

rzucał sobie. — Baba sierdzita i, panie kochający, awantury mi teraz stwarzać będzie.

Jakoż nie mylił się. Gdy się tylko zjawił w pokoju, Sadzikiewiczowa zaczynała gniewem kipieć i, nie zważając na nikogo, dalejże na niego z wyrzutami.

„Utracyusz, niedołęga“ rozpoczynali i zamykali kwestyę.

Po obiedzie ekstra-pocztą przyjechał Konstanty. Wyglądał jak z krzyża zdjęty i humor miał wściekły.

— Niech tam matka będzie łaskawa pocztę zapłacić—ozwał się do matki, rozchmurzonej widokiem jedynaka.—Pięć rubli mu się należy, no i tryngield rubla, rozumie się.

— Co rubla? Temu chamowi? A i za cóż to, mój kochany?

— Za to przypuśmy, że cham — niedbale odparł.

— Złotówkę miałby dosyć... Ej, Kociu, Kociu, jak ty ludzi psujesz...

Podreptała sama na ganek.

— Dam pół rubla; to i tak za wiele — mruzczała do siebie.—Co takiemu po pieniądzech.

Ale pocztylion, znając Konstantego, poznał się na wybiegu.

— Z przeproszeniem wielmożnej pani, ja pół rubla nie wezmę. Ja wiem, jaki tryngield zawsze młodszy pan płaci. Wczoraj jeździliśmy do Orchowa, dostałem trzy ruble.

Sadzikiewiczowa ledwo nie padła.

— Trzy ruble! Czy to słyszane rzeczy; Jezus Marya! Oszalał ten Kostek, albo co...

Z nienawiścią spojrzawszy na chłopaka, spytała:

— A poccożeście do Orchowa jeździli?

Ale ten nie w ciemię bity odparł:

— Po proch. Od żołdatów można taniej dostać.

A w duchu myślał: Żebyś ty wiedziała, jaki to proch...

— Mój Kostuniu, jakże też ty ludzi bałamucisz i pieniędzy nie szanujesz—odezwała się do Konstantego.

Leżał już teraz w swoim pokoju na łóżku, z butami na świeżo podszytej haftowanej koldrze i gwizdał: „Szumią jodły“, zapatrzony melancholijnie w sufit.

— Co to słyszę, Pistulińska przyjedzie?—spytał po chwili, nie biorąc wcale do serca wymówek matczynych.

— Przyjedzie. Ojciec dom do góry nogami wywraca. Wystawże sobie, chciał po tort z piramidką do cukiernika posłać. Ledwom wyperswadowała.

— Ojciec miał rację. Pistulińską należy godnie przyjąć. Wie matka, że ja myślę od niej pieniędzy pożytyć.

— Co i ty także? Jezus Marya! poszaleliście chyba—k: zyknęła, ręce łamiąc.

Konstanty uniósł się na posłaniu.

— Albo co? Cóż to matkę tak dziwi?

— Ale bo ojciec chce dla siebie... — wybąknęła zakłopotana

— Taak? A to ładnie ojciec gospodarował, jeśli po kilku latach pieniędzy już pożyczal — mówił oburzony Konstanty. — Ale ja przeczuwałem, że tak będzie. Ojciec tak na obywatela zdalny, jak ja na szewca.

— Zawsze to mówię! — poświadczyła.

— I co to ja się naprosiłam, nakrzyczałam, wszystko naopróżno. Z ojcem zawsze tak! A teraz tylko pod kościół iść, kiedy cały kapitał w tę przekłą wiesz wlaż.

Konstanty pogwizdywał, ale widać było, że go przykre myśli nawiedziły.

Istotnie było się czego martwić. Na kilka mil w około wiedzieli już lichwiarze w jakiej pozycji znajduje się Łaręcin. Coraz trudniej było pieniędzy dostać. A tu wydatki miał ogromne i dziś właśnie spotkał go taki nieprzyjemny *casus*, że mu Stokowski restaurator w obec wszystkich znajomych kredytu odmówił.

Alfek Gruszczyński drwił potem z niego na funty, a Bonus Łędzki taki niby przyjaciel, ręki mu na pożegnanie nie podał. Wcale nieparlamentarnie zwymyślała go potem dama jego serca, że się gospodarz o komorne upomina i modystka skandale robi za rachunek, dotąd nieuregulowany.

Konstanty zgrzytał zębami ze złości i bił się po pustych kieszeniach, klnąc, na czem świat stoi.

— Przecie chyba coś jeszcze od starego wyduzę — powiedział sobie, wziął ekstrapocztę i do domu pojechał.

Ucieszyła go wiadomość o przyjeździe Pistulińskiej, która na razie chociaż kłopoty jego usunąć miała, gdy oto matka obwieściła arcy przyjemną wiadomość, że i ojciec ma zamiar do pugilaresu Sabiny zapukać.

Matka, patrząc na niego, coś odgadła.

— Kostuś — spytała czule, gładząc go po wyłysiałej nieco czuprynie — tobie coś jest... Mówno, a szczerze.

Wydał pogardliwie wargi.

— Po co? Matka mi nie poradzi. — Niech pioruny spalą takie życie!

— Kostuś, na rany Chrystusowe, co ty wygadujesz!

— A cóż matka chce? To piekło nie życie! Żeby też człowiek wszystkiego odmawiać sobie musiał i liczył się z każdym groszem! Dziękuję. Wolalbym kulkę w łeb, dalibóg! Przynajmniejby człowiek nie myślał.

— Jezus, Marya! — nieludzkim głosem krzyknęła Sadzikiewiczowa. — Czegom się to doczekała na stare lata! Kostuś, Kostuś, przeżegnaj się! W Imię Ojca i Syna i Du...

— Niech się matka nie dziwaczy! Matce się zdaje, że Pan Bóg teraz taki tkliwy na bluźnierstwa, jak dawniej.

— Kostek!—jęknęła.

— Czego się matka przejmuje? Matka się tak na wsi zacofała, że aż wstyd! Matka wie, co teraz światem rządzi? Pieniądz! Do niego wzdychamy, przed nim się korzymy, a tam jakieś faramuszki niebieskie to dobre dla głupców, albo dla starych, którzy nie wiedzą, co się na świecie dzieje.

— Jezus, Marya, Jezus, Marya!—jęczała Sadzikiewiczowa.—Nawiedzenie, czyste nawiedzenie! żeby te ż bluźnierstwa takie z gęby puszczać!

Ale Konstantemu na szczerłość się zebralo.

Usiadł na łóżku i, gryząc niezapalone cygaro, zaczął przed matką teorye swoje rozwijać.

— Niech się matka naprzód zastanowi, co to jest życie. Lichy szmat, który wlecze za sobą człowiek za winy jakieś niepopelnione. Albo mnie się pytano, czy ja chcę żyć? Także fanaberya! I to ze wszystkim tak jest. Kupiłem konia, na przykład, postawiłem go w stajni, aby mu na łeb nie ciekło, zasypałem obroku do żłobu i pamiętam jużci o tem, aby mu było w miarę ciepło i w miarę wygodnie. To samo jest z mateczynemi krowami. Matka się wciąż kłopotce, czy paszy miały pod dostatkiem, czy nie skwaśniała, albo nie zatęchła, czy pastusi wczas je z obory wygnali i t. p. Prawda? A tymczasem Pan Bóg, stworzywszy człowieka, puścił go samopas i urwij ty

sam sobie łeb, a mnie nic do tego! No, czy nie tak? Niechże się matka zastanowi i powie sama. Koń krowa, przychodzą do gotowego; człowiek sam o sobie musi myśleć. Gdzież tu jest sprawiedliwość? Pan Bóg sobie z nas zabawkę zrobił i tyle! Psu na budę to wszystko się nie zdało!

— Kostuś, Kostuś o laboga! — zalewając się łzami, mówiła Sadzikiewiczowa—jak ty się gniewu Boskiego nie lękasz!... Ojej, ojej!

Konstanty z pasyą cisnął cygaro.

— Wie matka, kogo ja się lękam? Siebie, siebie, rozumie matka? Swoich pragnień, swoich żądań, których urzeczywistnić nie mogę — odparł z wściekłością.

Twarz mu się wydłużyła oczy zamigotały nie naturalnym blaskiem.

Łóżko stało wprost okna nieosłoniętego roletą i słońce już wiosenne, przedarłszy szare szmaty marcowego nieba, zajrzało do pokoju.

Sadzikiewiczowa spojrzała na syna i zdrętwiała. Jestże to ten sam Kostek, którego urodą zawsze się pyszniła?

Jak też ona mogła dotąd nie zauważyć, że zamiast bujnej czupryny sterczy teraz kępka rzadkich nad czołem włosów, że twarz jest żółta i wynędzniała, kości wystają na policzkach. Patrzy i oczom swoim nie wierzy. Kostek, jej Kostek! Co się z nim stało? Ból i trwoga szarpnęły jej sercem.

— Kostuś, Kocinchnu, co tobie takiego?—pytała, chwytając jego rękę.—Moje dziecko kochane, tak wyglądasz jak nieboszczyk z trumny wyjęty. Powiedz no, możeś ty chory, co?

Rozpaczliwy dźwięk matczynego głosu ułagoził go. Z natury już usposobienie miękie miał i w gniewie długo wytrzymać nie mógł.

Wzruszyła go też i tkliwość matki dobrej i kochającej, a której jeno zmartwieniami i lekceważeniem odplacał.

Jak niegdyś, przed laty, w Bąkach, oparł głowę na jej ramieniu i przymknął oczy.

Ona siedziała spokojnie, nie poruszając się, tłumiąc oddech nieledwie. Tłustą o grubych, nieforemnych palcach ręką gładziła jego czoło, w słonecznym świetle połyskujące żółtawą barwą wosku.

Po długiej chwili Konstancy przemówił pierwszy. Wściekłość w nim przycichła, ale zostawiła gorycz, którą wylać musiał słowami, bo go dusiła w gardle, paliła w piersiach.

— Niech się matka nie martwi—rzekł, rękę jej całując.—Zła chwila przyszła na mnie, alem ją już odegnał. Widzi matka, człowiek niezawsze odpowiada za siebie. gdy go życie znęka, tak jak mnie znękało i, jeżeli matka chce posłuchać, to ja matce powiem całą prawdę. Nieszczęście chciało, żeby nam ten Pistuliński w drogę wlaźł. Ja go bardzo lubię, bo chłop i do bitki i do kieliszka, ale on nam wszystkim w głowie pomieszał. Wykoleił, ot co jest! A już nie mo-

że być nie straszniejszego nad takie wykolejenie. Matka myśli, że ja nie wiem, jak się rodzicom niewygodnie w tej nowej szacie obracać? Ojej! Już się ani ojciec, ani matka nie zaprze, że woleliby choć dziś do Bąków wrócić, wieprze tuczyć, szynki wędzić i grosze do kasy chować. Co, może nie?

Uśmiechnął się dawnym figlarnym uśmiechem wesolego Kostka, kiedy to gorące serdelki matce z pod rąk wykradał.

— Trudno mamie zaprzeczyć, bo ja prawdę odgadłem. Czy matka przypuszcza, że Pistulińska jest szczęśliwa? Ja matce mówię, że nie! To jest ofiara i basta! Pamiętam ja dobrze ów wieczór w Michniewie. Słowo daję, dziś jeszcze zębami zgrzytam. Sewer jej nie kocha, najlepszy dowód, że ciągle z domu ucieka. Aż wstyd, gdy kto spyta, boć temu, iż tam zagranicą spadek jakiś odbiera, nikt nie wierzy. I co ona ma za życie, co zyskała?

Sadzikiewiczowej lzy po twarzy ciekły.

— Kostuś...—szepiała. — Bójsię Boga, z kąd ty wszystko wiesz?... Jakbyś mi z ust wyjmował...

Konstantemu twarz się wydłużała coraz bardziej i posepniały oczy.

— Czy mama nie zauważyła, jak się od pewnego czasu zmieniła Jadwisia? Do gospodarstwa się bierze, przestała po nocy do gwiazd wzdychać i męczyć mnie i ojca, żebyśmy jej kawalerów z arystokracji sprowadzali. Nie wiem, jak komu, ale mnie

się wydaje, że wyładniała ogromnie, odmłodziła i lepsza jest, niż dawniej. Co?

— Dużo lepsza—potwierdziła p. Sadzikiewiczowa, wpatrzona w syna, jak w obraz.

— I matka nie domyśla się, co tę zmianę wywołało?

— Zkądże, moje dziecko...

— No to ja matce powiem. Ona może sama jeszcze o tem nie wie, ale kocha się w Kacperowskim. Dla niego wzięła się do gospodarstwa, zapomniała o pańskich tonach i wymaganiach, które niespełnione truły jej życie. Powtarzam, że ona go kocha, ale o tem nie wie, bo gdyby wiedziała, desperowałaby, truła się, gryzła, a nie pomyślałaby o tem, iż jego i siebie uszczęśliwić może. Jakżeby! Rządca przecie, hołysz bez szumnego nazwiska i szlacheckiego herbu. To nie partya dla Sadzikiewiczówny, której szwagier jest obywatelem i nazywa się Pistuła-Pistuliński.

Zakaszłał się, bo odkiedy na ostatniej u Gruszczyńskiego bibce zmęczony i potem zlany uparł się późną już jesienią noc całą na werendzie przespać, ciągle go coś w piersiach i w gardle łaskotało, i nawet w boku taki nieraz ból uczuwał, że aż zębami zgrzytał.

Sadzikiewiczową w dziwny sposób ten kaszel dzisiaj wstrząsnął. Słuchając, jak się Konstancy krztusi, doznawała prawie fizycznego jakiegoś bólu.

— Moje dziecko, jakże ty kaszlesz...—odezwała się zafrasowana—Natrę ci piersi terpentyną i wezykatorye położę. Dobrze? Mój Kociu, mój ty kochany!

Roześmiał się!

— Et, babskie wymysły! Może jeszcze kwiatu bzowego, lub ślazowych korzonków... Niech się matka nie frasuje: złego licha nie weźmie.

— Co tam gadasz! złego, czy dobrego, kiedy kaszle, ratować trzeba.

— No, to niech matka wynajdzie naprzód lekarstwo na to, co tu dokucza — wskazał na głowę—i na ten ból, co tu ściska—pokazał serce.—Potem pogadamy o kaszlu.

— A cóż tam tobie, dziecko moje najdroższe, dokucza?—spytała zdziwiona ogromnie, bo go jeszcze nigdy tak mówiącego nie słyszała.

Śmiechem wybuchnął.

— Co? Powiedzieć matce? Et, matka tego nie zrozumie! Chyba, że matce przypomnę tego parszywego Burka, co to psy i ludzie od niego uciekali, aż mu karbowy, litując się, w łeb palnął. Pamięta matka?

— No pamiętam, ale cóż Burek...

— Aha! Matka tego nie rozumie, alem ja bardzo do Burka podobny. Bardzo. Tu mnie nie chcą, tam się wstydzą, nie wiadomo, jakie mi miejsce na świecie wyznaczyć. W towarzystwie ludzi, do których się gwałtem wdarłem, odgrywam rolę parszywego Burka, a w sferze, w której się urodziłem, patrzę

na mnie jak na zaprzańca; no, i co prawda, jabym się już w niej obracać nie umiał.

Opadł na poduszki i otulił się szczerlnie koldrą.

— Brr! zimno! Niech mi matka każe wina czerwonego zagrać. A może tam macie jaką mocną gorzałkę?

Sadzikiewiczowa podreptała do spiżarni.

Wciąż jej brzmiały w uszach zasłyszane od Kostka słowa i brzęczał kaszel taki jakiś suchy i głęboki, jakby kto w pusty garnek uderzał.

Wiele rzeczy z tego, co mówił, niedobrze rozumiała, ale ten Burek w głowie gwoździem jej stanął.

A Konstanty z czołem, jak u starca, pofałdowanem zmarszczkami, myślał, jakby tu do serca Sabiny przemówić i pożyczkę dostać.

Gdy w pół godziny potem Sadzikiewiczowa przyniosła mu wino grzane, gwizdał aryę z „Ptasznika“, bijąc nogami po ścianie.

— Koszuś, cóż ty robisz?—roześmiała się.—Żeby też takie głupstwa wyprawiać.

— Wie matka? Na księdza idę. Uczułem powołanie, parole d'honneur! — rzekł wesoło, a ona, patrząc na niego, myślała zdumiona, czy to ten sam Kostek, którego przed pół godziną w takich czarnych myślach pogrążonego zostawiła.

Przed wieczorem przyjechała Pistulińska.

— Jezus Maryja, jakżeś ty zeszczupląła!—zawołała Sadzikiewiczowa, gdy Sabina w czarnym obcym paltocie smukła, jak sosna, z karety wysiadła.

Istotnie wyglądała, jak cień.

— Co tam ja!—uśmiechnęła się blade.—Niechno mama na Sewerkę popatrzy.

Piastunka wносиła właśnie z karety tłustą, rumianą dziewczynkę, rozglądającą się wokoło czarnemi, nad wiek pojętnemi oczyma. Na ganku służba pochyliła się do nóg pani Pistulińskiej, fornale z biczów trzasnęli, ktoś krzyknął. „Hurra“. Konstanty za boki się brał od śmiechu.

— Udało się ojcu, parole d'honneur! — szeptał Jadwidze, zmieszanej i zarumienionej, bo Kacperowski, zaproszony ostentacyjnie do udziału w ceremonii powitalnej, dławiąc się śmiechem, uciekł z ganku do ogrodu.

Sabina również zakłopotana usuwała się, mówiąc:

— Doprawdy, to niepotrzebne... Niech już ich ojciec uwolni...

Poczem dobyła woreczka i trzy rublowy paperek wsunęła w ręce schylającego się do nóg jej karbowego.

— Hm! — mruczał do siebie Sadzikiewicz, gdy Sabina do pokoju weszła i ludzie się rozpierzchli — wszystko się, panie kochający, udało wyśmienicie. Te bestye fornale tak z batów strzelali, jak z dubeltówek i bardzo ładnie „hurra“ korpus jakiś krzyknął, a Pistulińska niebardzo się jakoś ucieszyła. Coraz większa widać pani; jużby teraz dla niej wielkich rzeczy trzeba.

Markotnego rozweseliła dopiero Sewerka.

— Dziadziu, dziadziu!—wołała.—Niech dziadziu tu psi mnie siada, ja dziadziowi potaże dużom laltę, co się nazywa Sabinta.

Stary promieniał i duma nim rosła. Ot, doczekał się pociechy. Niechby mu kto przed laty był powiedział, że taki śliczny, szlachecki korpus będzie go nazywał dziadkiem i arystokratycznymi rączkami gładzić będzie jego twarz, całować...

— Że to pan zięć na święta nie tego, panie kochający... Byłoby weselej — ozwał się do Sabiny. — Pewny byłem, że przyjedzie.

— Jeszcze nie ukończył interesów — odparła z wysileniem, bo się lękała każdej o mężu wzmianki.

— Co tam interesy! — ze zwykłą szorstkością rzekła Sadzikiewiczowa.—Jak się ma żonę i dziecko, to jest najpierwszy interes. Do czego podobne, żeby żona siedziała gdzieindziej, a mąż gdzieindziej.

— Przecież mama wie, że spadek odbiera.

— Nie odbierałby i teżby nie siedział. Nie lubi już miejsca w domu zagrzać.

— E! Co tam matka bajesz! — zawołał Sadzikiewicz —Który ci to wielki pan w domu siedzi. Ot, chciałabyś, panie kochający, żeby się każdy korpus spółnicy żoninej tak pilnował, jak ja. Panowie muszą się często przewietrzać, to darmo!

— Ojciec ślicznie powiedział! — delektował się Konstanty.—Jutro do Włoch pojedę.

Sabina serdecznie popatrzyła na brata.

— Cóż ty porabiasz, Kostusiu? Bardzoś się zmienił i zestarzał. Czemu?

— Urwisuje się raportował Sadzikiewicz. — W domu, panie kochający, jak kamfora. Jużci jest, już go niema. Matka na wszystko gagatkowi pozwala.

— A tybyś go chciał na sznurku trzymać! Młody, niech się bawi. Sameś go chwalił, że się tylko z panami zadaje.

— Prawda. Taki ci, powiadam, Sabciu, węż ma, że o milę pana pozna. I broń Boże, żeby z dzierżawcą jakim wypił, albo z urzędnikiem. Gdzie zaś!

— E! co tam ojciec opowiada! — roześmiał się Konstanty, przekomarzając się Sewerce, która mu pulchnymi łapkami czuprynę targała.

— Zanadto się Kostuś bawi — zauważyła Sabina.—To nawet zdrowie nie wytrzyma takiego życia.

— A czy ja to nie mówię? Powinien był odrazu, panie kochający, do gospodarstwa się tego.. Zdrowiej byłoby i pożyteczniej. Moglibyśmy rządcy nie trzymać.

— Co też ojciec mówi—oburzyła się Jadwiga.— Gdyby nie rządcy, toby nas już w Łaręcinie nie było. Pan Kacperowski tak pracuje i taki nam oddany. Tylko u nas dobrego ocenić się nie umie.

— Albo mu nie płacę? Przy naszym stole jada i dobrze korpus jada bo, panie kochający, apetyt ma za dwóch.

— Cóż mu ojciec żaluje?—oburzyła się Jadwiga. —Pracuje, to jeść musi. Także pretensya!

— Jadzia, pilnuj się, bo się zdradzasz... — szepnął jej do ucha Konstanty.

Spuściła oczy na trzymaną w ręce książkę.

Sabina przyglądała jej się ze zdziwieniem, bo w ciągu paru lat ostatnich do niepoznania się zmieniła. Cera nabrała na wsi świeżości, zjędrniała, figura wypełniała, a twarz utraciła posępny wyraz, który ją dotąd szpecił.

— Jadwisi z dziesięć lat ubyło — odezwała się Sabina.—I tak wyładniała... Wiś ci służy, Jadwiniu...

— Miłość!...—szepnął Konstanty.

A zarumieniona Jadwiga rzekła:

— Od kiedy się do pracy wzięłam, inne życie wstąpiło we mnie. Łaręcin do niedawna grobem mi się wydawał, i nuda mnie tak żarła, żem ledwo nie oszalała. Ale chodź, Sabciu, na górę, gdzie ci obok mego, pokój przygotowałem. Odpoczniesz po podróży, nim herbatę podadzą.

Gdy wyszły, Sadzikiewiczowie popatrzyli na siebie znacząco. On głową kiwał, na piersi ją opuszczając, ona kręciła swoją w lewo i w prawo.

— Wyładniała, wybielała, zeszczuplała, ale to nie Sabcia—mruknęła wreszcie, a że przypomniały jej się słowa Kostka, więc z głębi szerokiej piersi wydała głębokie westchnienie.

— Prawdziwa Pistulińska!— delectował się Sadzikiewicz.—Myślałem sobie właśnie, żeby na drugie święto Kostek tych swoich szlacheckich kompaniorów zaprosił. Nie powstydzilibyśmy się, panie kochający!

— Ale ojciec pierwej zapłaci, com im winien... —ode drzwi już rzucił Konstanty i wyszedł.

— Słyszałaś, Brygisiu? — spytał zafrasowany Sadzikiewicz.

Pokiwała głową ze smutkiem i poszła popatrzeć na Sewerkę, która w salonie przewracała z pudlem koziołki po kobiercu.

Tymczasem Sabina w swoim pokoju wypytywała Jadwigę.

— Cóż tu słyhać? Mówże, moja Jadwisiu. Zamaż się nie wybierasz?

Jadwiga roześmiała się.

— A któżby mnie tu wziął? U nas nikt nie bywa. Tu okolica zamożna i wszystkø szlachta. Choćby nam to nieszczęśliwe nazwisko darowali, nie przebaczę tego, że rodzice mówić nie umięją.

— I to prawda! Gdybyś jednakże...

Głos jej złamał się, słowa na ustach zamarły.

Z pluszowych błękitnych ramek spojrzwały na nią oczy Sewera jasne, wesołe i uśmiechały się usta. Stanęła przed fotografią oczarowana, zahypnotyzowana.

— Nie, nie wiedziałem, że, że macie fotografię

Sewera—wyksztusiła po chwili, czując, że wypada jej coś powiedzieć.

— To paryska...—objaśniła Jadwiga. — On sam mi ofiarował. Ale podobny, jak dwie krople wody. Prawda?

Sabina milczała. Na widok pięknej twarzy męża, ogarnęła ją taka tęsknota, że i postać Miny Libretz zbladła i zazdrość się uciszyła, i słowo przebaczenia drżało na ustach, byle go, tylko ujrzeć, odzyskać choć na dzień jeden, choć na godzinę!

A Jadwiga, nie nie przeczuwając, pytała:

— Długoż, on tam jeszcze w Dreźnie siedzieć będzie? Nie pojmuję, jak ty możesz wytrzymać. Gdyby tak na mnie, jużbym z dziesięć razy pojechała.

— Gospodarstwo, dziecko ..—jąkała się Sabina. Spodziewam się, że Sewer niedługo wróci. Ale słuchajno, Jadwiniu—zmieniła szybko rozmowę — podobno tu u was kłopotów co niemiara. Krysia taka zmartwiona, bo ten wasz rządcą był tam kiedyś w Bąkach i historye Kożuchowiczowi opowiadał. Krysia miała wielką ochotę jechać, ale—mówi—możeby mnie tam krzywo przyjęli. Ja sobie zwyczajna stolarka, a oni dziedzice.

— Cóż znowu! — szepnęła Jadwiga. — Z gości nikt nie bywa, a służba by przecie nie wiedziała, czem jest Kożuchowicz.

— Rządcą wie—uśmiechnęła się Sabina.

— O, to postępowiec, o niego nie chodzi. On

VI.

Minęły święta, minęła wiosna i czerwiec uśmiechnął się mieszkańcom Bąków lazururowem niebem, zielenią łąk ciągnących się szeroką plachtą tuż za miastem, śpiewem słowików wijących gniazda w ogrodach i rechotaniem żab.

W ogrodzie, okalającym dom Kożuchowiczów, pod różowym kasztanem stoi biało lakierowany wózek z błękitnymi firankami.

Krystyna z robotą siedzi obok na ławce darniowej, świeża i ładna w muslinowej niebieskiej sukni i popycha niekiedy wózek, w którym infant z buzią, jak zorza, rumianą słołko zasypia.

A jestto już teraz duży kawaler o bujnie rozrosniętych kształtach, tubalnym głose i pretensją do zębów trzonowych.

Twarz Krystyny przedstawia doskonały wizerunek spokojnego, szczęśliwego istnienia.

Po gładkiem jej czole przepływają myśli tak jasne, jak koronkowe na niebie obłoki, szafirowe oczy przypominają czystą toń strumienia, ukrytego w głębokim parowie.

Malec śpi... Słońce przygrzewa coraz mocniej.

Obezwładnione gorącym palcem Krystyny niechętnie przesuwają igłę.

— Krysiu, gdzie jesteś?— wśród zwartych krzaków bzu odzywa się głos wesoly i zaraz potem wylania się zgrabna postać Kazi Jaworzewskiej.

— Miałaś rację, żeś z dzieckiem do ogrodu uciekła— mówi, zrzucając kapelusz.

— Gorąco i duszno w mieszkaniu nie do wytrzymania. Temu to i moją wizytę, zawdzięczasz.

— Tylko temu?

Krystyna przygląda się przyjaciółce z jakimś figlarnym, zagadkowym uśmiechem.

— Gdybym nie była już czerwona, wypadaloby mi się zaczerwienić— zaśmiała się Kazia, siadając obok Krystyny.

Uściskały się.

— Mama ciebie i Stefka kazała ucałować— zaczęła Kazia. Olek i Wacek przynieśli wczoraj same piątki w dzienniku. Z Kozłowa dostałam zamówienie na 110 rubli odrazu. Jakiś zbankrutowany podobno hrabia, czy baron, złapał się na zbankrutowane również wdzięki p. Heleny. Wesele za 2 tygodnie.

Roześmiały się.

— Sabina się ucieszy— rzekła Krystyna.

— Ona tej Heleny cierpieć nie może.

— Cień smutku padł na ożywioną jej twarz.

— Cóż Pistuliński?— po chwili milczenia spytała Kazia. Nie wrócił?

Płomień oburzenia rozpalił się w łagodnych zażwyczaj oczach Krystyny.

— Nie!— odparła. Ach, Kaziu, jak ja go nienawidzę! Milion razy przeklełam już chwilę w której do domu naszego wstąpił.

— I cóż to dalej będzie?— wtajemniczona w smutne położenie Sabiny, pytała Kazia.

— Albo ja wiem! Ta kobieta się zabija codziennie, co godzina i pracą nad siły i zgryzotą, a ten niegodziwiec za jej pieniądze używa.

— Bój się Boga, przecież środek jakiś musi być, prawo...

— Prawo?— zawołała oburzona Krystyna.

— A jakież to kobieta ma prawa? Cierpieć i milczeć! Oni mogą frymarzyć naszymi uczuciami, naszym majątkiem, a my, jak niewolnice, poddać się musimy.

Toż jeździła Sabina do adwokata, i Stach co mógł robić i cóż? Adwokat powiedział, że skoro intercyza przy ślubie zrobiona była bez zastrzeżeń i tylko na korzyść męża, to ten mąż, może teraz bezkarnie używać i na „przyjaciółki“ tracić, byle tylko żonie i dzieciom dał utrzymanie. Śliczne prawo!

— To niepojęte! Więc Pistuliński może w ten sposób cały posag Sabiny stracić?

— A może. Czemu nie? Gdy się Pistuliński z Sabcią żenił, wszyscy głowy potracili. Jaki splendor, jaki zaszczyt!... Pycha wzrok osłepiła, a teraz

oto dwie ofiary niewinne cierpią... Bo co to za przyszłość takiej Sewerki? Boże drogi!

Aż pomyśleć przykro. A już mi najgorzej żal tych, co cierpią za winy niepopelnione.

Poruszyła wózek, bo chłopiec się budził, i, patrząc na niego łzawemi oczyma, rzekła:

— Przykro to mówić, ale rodzice ciężko nieraz przeciwko dzieciom grzeszą. I nawet nie przez obojętność, jeno przez karygodną nieświadomość i niedbalstwo. Biedna Sewerka! A to takie miłe dziecko, że nie uwierzysz.

Urwała gałązkę bzu i zaczęła nią malca od komarów opędzać.

Oczy Kazi biegły w stronę domu Kozuchowiczów, ukrytego prawie w gęstwinie krzewów i pnących się roślin.

Błękitne i różowe kielichy powoju oplatały filary ganku, akacya i białe różowy kasztan zaglądały w okna. Krzaki jaśminu kwieciami okryte, wydzielając odurzającą woń w około, rywalizowały z pąkami róż, otwierających pełne ku słońcu korony.

— Istny Eden! — poszepnęła Kazia. Coś ty z takiego skromnego ogródka zrobiła, to nie do uwierzenia.

— To Stach, nie ja — uśmiechnęła się Krystyna. No i pan Zdzisław.. On przedewszystkiem; toż to ogrodnik zawołany.

Dziwię się, że dotąd przeczucie nic mu nie powiedziało...

Spojrzała figlarnie na Kazię, zaplonioną po białka oczu.

— Cóż mu miało powiedzieć? Nie przyszłam przecie dla niego... Wstydz się, Kryśka!

Krystyna pochyliła jej się do ucha.

— Nie masz pojęcia, jaki zakochany...

Wczoraj cały wieczór wzdychał tylko i wzdychał... A potem...

Umyślnie zamilkła, obserwując Kazię, której twarz mieniła się ciekawością i wzruszeniem.

— Cóż potem? Ach, jakaś ty nieznośna!

Naumyślnie tak mnie wytrzymujesz.

— Prosił Stacha, aby go twoim rodzicom oświadczył — dokończyła uradowana Krystyna. Jakże ja się cieszę! A wiesz, że jak długo nie o małżeństwie nie mówił, tom się bała. Wytłómaczył mi to wczoraj: „Życia bez p. Kazimiery nie pojmuję, mówił więc, gdyby mi odmówiła..“ Pokazało się, że i on się bał...

Śmiały się teraz obie, a potem Kazia różową twarz przytuliła do policzka Krystyny.

— Więc to już nie marzenie, nie sen uludny... — szepnęła. Ach, Krysiu, jakim ja szczęśliwa! I pomyśleć, jak to ślepy traf wszystkim rządzi. Gdybym tak była Makowieckiego przyjęła... A już, już nie wiele brakowało, jakeście zaczęli namawiać...

— Któż przewidział, kochanie... Partya dobra...

— Moje serce przeczuło... — szepnęła Kazia i ścisnęła mocno ramię przyjaciółki, bo ładnie wygra-

cowaną ścieżką nadchodził właśnie Koźuchowicz z p. Zdzisławem.

Zaraz od pierwszego rzutu oka Zdzisław Modlicki wywierał korzystne wrażenie. Wysoki, barczysty, brunet z cerą ciemną i sutym wąsem, z oczami jak aksamit lśnąciami, rysy miał regularne i sympatyczne.

Z Koźuchowiczem łączyło go powinowactwo dalekie ze strony matki, bo jakaś tam cioteczna od ciotecznych za któregoś z Modlickich wyszła. Zdzisław przed pół rokiem, namawiany gorąco przez Koźuchowicza, założył pierwszy w Bąkach zakład ogrodniczy.

Koźuchowicz, znając warunki miejscowe, zapewniał, że: „Dobrze pójdzie,“—i istotnie poszło. Na początek, w domu swoim, który Koźuchowicz zaraz po ożenieniu się od ojca otrzymał, wynajął Modlickiemu sklep z pokojem kawalerskim, a Krystyna ani słuchać chciała, aby się kuzynek gdzieś po restauracjach miał stołować.

Poznanie z Kazią rychło nastąpiło. Prócz Krystyny żadnej przyjaciółki w Bąkach nie miała. Więc odwiedzały się często, a Modlickiemu zaraz od pierwszego razu Kazia tak się spodobała, że wręcz powiedział Koźuchowiczowi, iżby się z żadną choćby najpiękniejszą nie ożenił.

Gdy nadeszli, Krystyna, spojrzawszy na męża, poznała odrazu, iż mu coś dolega. Zaciekawiona i niespokojna badała go oczyma, co gdy zauważył, rzekł bez ogródki:

— Moja Krysio, wiem, żeś ty mocna kobieta i byle czego się nie złękniesz. Niechże się tu młodzi bez ciebie przywitają, a ty pójdź ze mną.

Ujął żonę pod ramię.

— Pójdź, nim się Stefan obudzi. A wy tu sobie gruchajcie z powodzeniem — rzekł, zwracając się do Kazi i Zdzisława.

— Wyobraź sobie, — zaczął opowiadać, gdy przytuleni do siebie szli, gęstymi jabłoniemi wysadzoną aleją — czegom ja się dziś dowiedział... Pistuliński przyjeżdża.

— Co?

Krystyna stanęła jak wryta.

— Stachu, bój się Boga, mówże, mów.. Ledwo się mogę na nogach utrzymać.

— No widzisz! A ja myślałam, żeś ty mocna.

Uspokój się, Krysio, bo w tem, że przyjeżdża, niema jeszcze wielkiego powodu do wzruszeń.

— Zkądże wiesz, mój drogi, i czy to prawda? Mój Boże! Jak się też Sabina ucieszy!

Pocziwa twarz Koźuchowicza spochmurniała bardziej jeszcze.

— Wątpię! — cicho szepnął. Biedna ta Sabina!

— Krystyna popatrzyła na niego zdumiona.

— Stachu, nie męcz mnie! Ja już teraz nic nie rozumiem.

— Sewer chce podobno Pistulin sprzedać — rzekł, zaciskając pięści, Koźuchowicz. Ot, dałbym ja mu! Szubrawiec!

Krystynę wiadomość ta ogłuszyła zupełnie.

— Pistulin sprzedać? — powtarzała, ale jej się to w głowie jakoś pomieścić nie mogło.

— Fiszel mi mówił. Pisał podobno, żeby mu się o kupców starał. Jeśli istotnie sprzeda, to dla Sabiny przepadł. Fiszel już wie, że się chce z żoną rozejść.

— O mój Boże! — jęknęła Krystyna. To już i całe Bąki wiedzą. Jakież to upokorzenie dla Sabiny, jaki wstyd!

— Rozwodu im nie dadzą — opowiadał dalej zafrasowany Kozuchowicz — ale separacya jest możliwa. Na to Sabina zgodzić się musi. Będzie jej płacił alimenty i musi cicho siedzieć.

— Ależ to okropne! — wybuchnęła.

— To nikczemne! — potwierdził. I powiedz mi, Krysiu, co teraz począć? Trzebaby może Sabinę uprzedzić...

Krystyna ścisnęła dłońmi czoło. Czują zamęt w głowie. Po chwili rzekła:

— Trzeba do ojca telegrafować. Przecież ojciec może mu zabronić. Wszyscy wiedzą, że posagiem Sabci Pistulin oczyścił. Jakiem prawem ma go się teraz pozbywać?

— Pistulin należy do niego. Ojciec sumy posagowej nie zabezpieczył wcale, więc prawnie Sabina nie ma nic. Rozumiesz teraz, dziecko?

Poglądził jej włosy i do piersi przycisnął drżącą, osłupiałą.

— Nie martw się, kochanie! — prosił tkliwie. Wiesz przecie, że ci się teraz smucić nie wolno. Moja Krysiu, moja najmilsza!

Ale ona wobec tej pieśczęoty właśnie panować dłużej nad sobą nie mogła.

Wybuchnęła płaczem.

— Żeby też taki los sobie zgotować, takie nieszczęście, o mój Boże, mój Boże! — powtarzała, spłakaną twarz kryjąc na piersi męża.

W parę godzin potem, zostawiwszy Stefka pod opieką Kazi, pojechała do Pistulina...

— Jak ja jej to powiem, jak ja powiem... — myślała znękana, gdy wyjechawszy z lasu, w oddali wiorst paru ukazał jej się lśniący w słońcu dach pistulińskiego pałacu.

— Pani niema? — pytała chłopca zajętego obieraniem drzew z chrabąszczów, których wielka ilość rozmnożyła się w tym roku.

— Jest! Tyło nie wiadomo: w mleczarni, czy może na pole poszła — odparł, drapiąc się w głowę.

— A gdzież Jan? — pytała dalej, bo nawykła widzieć zawsze w ganku z papierosem i miną znudzoną, przyzwyczajonego do hrabskich przedpokojów, sługusa.

— Jana już niema. I gospodyni precz poszli. We dworze jest ino pokojówka i ja, a w kuchni Jacentego też niema, bo kradł, ino kucharka ta z czeladnej gotuje i na pański stół i na nasz... — opowiadał ośmielony chłopak, a Krystynie ścisnęło się serce.

— Dla niego skąpi, dla niego pracuje..—westchnęła. Jest dla kogo! O, podły!

Poszła szukać Sabiny i koło oficyn spotkała Sewerkę.

W skromnej perkalowej bluzce i muślinowej chusteczce na głowie wyglądała raczej na córkę ekonoma.

Pokojówka, która w miejsce Kwiatkowskiej polecony miała dozór nad dzieckiem, cerowała, pod kasztanem siedząc, bieliznę.

— Ciocia, ciocia!—wołała Sewerka, opalone rączyny zarzucając na szyję ciotki.

— Cóż ty tu robisz, aniołku? — pytała, całując ją Krystyna. Gdzież mama?

— Kwiatki zbiela Sewelka dla tatusia — z poważną minką odparło dziewczętko.

— A mamusia jest tam, w kuchni.

— To pójdźmy do mamy. Zaprowadź mnie. Dobrze?

Dziewczynka uczepliła się jej ręki.

— Sewelka zaprowadzi, Sewelka pójdzie z ciocią—szczebiotała uwieszona u ręki Krystyny.

W kuchni, opasana dużym fartuchem, stała przy blasze Sabina.

Masło skwierczało, i ona kładła właśnie kotlet cielecy na patelnię, gdy weszła Krystyna.

— Cóż ty sama kucharujesz? — zdziwiła się Krystyna, całując siostrę na powitanie.

— Wyprawiam wszystkich do pielienia—odpar-

ła, wycierając ręce Sabina. Ale toś mi niespodziankę zrobiła. Cóż tam u ciebie, Stefek zdrów?

Zagadywała, usuwając szybko kotlet z blachy, nie rada, że Krystyna zeszła ją przy takiej robocie. Nie dla tego, że się wstydziła, ale chodziło jej o Sewera:

Wyszły do ogrodu i na ławce pod lipą siadły.

— Ja się nie na żarty zabrałam do gospodarstwa—opowiadała Sabina. Dopiero teraz poznałam, jaki to człowiek szczęśliwy, gdy może coś robić. Czas ucieka, jak na skrzydłach.

Krystyna, milcząc, końcem parasolki rysowała figury jakieś na żółtym piasku ku uciechu Sewerki i czuła wyraźnie, że coś ją dławi w gardle.

Ta Sabina... Mój Boże, jakaż ona inna, niż dawniej... Wszystkiego się już widać dla siebie wyrzekła. Popatrzyła na ciemną z szewiotu suknię siostry i szeroki fartuch, u którego paska wisiał pęk kluczy ogromny. I twarz się zmieniła. Cera zgrubiała nieco, opaliła się, ale Sabina, wyglądała teraz o wiele młodziej, zdrowiej. A przytem dziwnie wyszlachetniała. Kto znał Sabinę dawniej, trudno by mu było poznać ją. Mimo prostoty w odzieniu była w niej pewna dystynkcyja i wdzięk czysto kobiecy. Uśmiech i spojrzenie tkliwości pełne, gdy na Sewerkę patrzyła, czyniły ją prawie ładną.

— Czemu pozwalasz Sewerce biegać bez kapelusza?—spytała Krystyną ot tak, aby coś powiedzieć,

bo misya, z jaką przybyła, odbierała jej prawie przytomność.

— Pleć się opali, zgrubieje...

Sabina uśmiechnęła się.

— Niech się opali... — odparła. Słońca i powietrza nigdy podobno dla dziecka nie jest za wiele, a ja pragnę, aby Sewerka na tęgę i zdrową wyrosła dziewczynę.

Pogładziła pieścizotliwie główkę dziecka.

— Może się napijesz mleka, nim podadzą wicherzę?— spytała siostry.

— Nie, dziękuję ci!— broniła się Krystyna. Czyż onaby mogła przełknąć teraz cokolwiek?

Słońce schylało się coraz niżej ku zachodowi. Ostatnie, czerwone blaski oświeciły okna pałacu, i pomiędzy drzewami mrok osiadał zwolna.

Sewerka przycichła, ukrywając główkę w fałdach matczynej spódnicy, Sabina wzrokiem gdzieś wdał wybiegła, Krystyna smutna, zadumana milczała.

Niedługo w podwórzu i koło oficyn wszczął się ruch. Zapędzano do obór bydło, zwoływano drób, pojono stadninę.

Kosiarze gwarno szli z łąki, ku pałacowi, po zapłatę dążąc. Rządca konno powracał z pola.

Sabina podniosła się z ławki.

— Czas nam pójść...— rzekła, ale nie odchodziła.

Wzrokiem potoczyła do koła i uśmiechnęła się. A był to słodki, rzewny uśmiech który ostre zwykłe rysy upiękniał.

— Nie masz pojęcia, Krysiu,— odezwała się po chwili— jak się to łatwo do kawałka ziemi swojego przywiązać. Dla mnie teraz Pistulin tak drogi, że bym z chęcią, gdyby potrzeba było, nie wiem jakie ofiary dla niego poniosła. I powiedz, jak się to człowiek zmienia. Ani mi w myśli teraz zabawy, stroje, i ten świat, do którego tak wzdychała, zbrzydł mi zupełnie. Nie bywam nigdzie, nikogo prawie nie przyjmuję, a przecież dni upływają szybko i na nudę czasu niema.

— Pojmuje!... — szepnęła Krystyna, ale jej się serce ścisnęło z bólu.

— Jeśli Bóg pozwoli, to muszę Sewerce ten folwarczek nad rzeką dokupić dla zaokrąglenia. Gruntu się prawie w nasze wrzynają i Łady posiadają właśnie to, czego Pistulin ma niewiele: wodę. Jakie tam śliczne stawy i ryb jest dużo...

Ujęła dziecko za rączkę i ku domowi poszły. Idąc, szepnęła jeszcze, jak gdyby myślom swoim odpowiadając:

— Nie łatwiejszego, niż roić plany... A może los figlarz śmieje się teraz ze mnie...

Westchnęła i spojrzała na Krystynę. I zaraz coś ją zaniepokoiło, coś w jej twarzy uderzyło niezwykłego. Dziwiła się, że dotąd tego nie dostrzegła.

Już sam przyjazd Krystyny w zwykły dzień powszedni, nasuwał różne przypuszczenia.

Nie miała jednak czasu zastanawiać się: Przed gankiem gromada chłopów oczekiwała.

— Czego oni chcą?—spytała rządcy.

— Cegłę wozili. Chciałem już co prędzej ten parkan skończyć.

Zmarszczka na czole i silne brwi ściągnięcie zmieszały rządcę,

— Nie meldowałem, bo gdzieżby tam z każdym głupstwem do pani dziedziczki chodzić... — wtrącił żywo.

— Toś pan źle zrobił. Prosiłam, aby żadnych robót bezemnie nie zaczynać — mówiła głosem zirytowanym. Są roboty pilniejsze. I, mając swoje fornalki, najmowałeś pan pod cegłą podwody? To także gospodarstwo!

— Mówiłem pani dziedziczce, że chciałem szybko się z robotą uwinąć...

Nasi drzewo wozili i kamienie do tej grobli na Ładzińskim, którą chciałem zasypać. Co zaś do drzewa, to pani dziedziczka sama kazała przywieźć.

Zmarszczka na czole Sabiny pogłębiała się coraz więcej.

— To zawsze tak!... — zwróciła się półszepem do Krystyny. W polu najpilniejsze rzeczy czekają, a my groble zasypujemy, parkany murujemy, lamusy, lamusiki, awantury! Zakurzony, z torbą przewieszoną przez plecy zbliżył się wieśniak i oddał Sabinie kilka zaklejonych kopert.

— Z kancelaryi, proszę wielmożnej pani.

Sabina otwierała jedną po drugiej. W miarę czytania, rzucała rządcy:

— Wnieść podatek podymny, niech pan nie zapomni. Na czwartek posłać sześć fornalek do zwózki kamieni na szosę.

— A niech ich najjaś... To w porę się wybraли—mruknął zadowolony rządcą. Te szarwarki to już w gardle kością stoją... Chciałem akurat gnój na ugory wozić i mieszankę siać...

— Ugory oddawna powinny być przyorane—zauważyła Pistulińska. Pierwsze to było, niżeli cegła i groble. Prosiłam też pana, żebyś przykazał ogrodnikowi drzewa owocowe podeprzeć. Obaczące pan, ile gałęzi obciążonych owocem wisi złamanych...

— To się zrobi, pani dziedziczko. Dziś, jutro się zrobi. Czy pani dziedziczka każe wypuścić bydło Kulwiniaka? Ośm sztuk przycapiliśmy w naszej kapuście. Niech ich najjaśniejsze, z przeproszeniem pani dziedziczki, okopały ją, nie czekając na nas.

Pomyślała chwilę.

— Niech pan ściągnie po 50 kop: od sztuki, a pieniądze odeśle do wójta na budujący się kościół w Redłowie — rzekła. I proszę mi pokwitowanie z odbioru oddać.

— O rety! o Jezusiczku najmilszy!—wrzasnęła jakaś babina i dalejże Pistulińską za nogi chwytać, po rękach całować. A co to tam na onej kapuście stworzenie szerło, żeby tyle pieniędzy za nie wywalić... A niechże się pani dziedziczka zlituje a skądżeby my tyła pieniędzy wzieni? Ołoboga, ołobo-

ga! — lamentowała z takim piskiem, szlochaniem, że Pstulińska za głowę się schwyła.

— Krysiu, uciekaj! — zwróciła się do siostry — głowa cię rozboli...

— Patrzę i podziwiam... — ze szczerem zadowoleniem uśmiechnęła się Krystyna.

— Toż się gospocha z ciebie zrobiła...

W pół godziny potem ostatni interesant opuścił ganek.

Sabina wypieki miała na policzkach i znużenie w oczach, ale na ustach uśmiech,

— Nie masz pojęcia — mówiła do Krystyny — jak chłopcy są uprzykrzeni. Nieraz doprawdy cierpliwości brak.

Przeszły do stołowego pokoju, gdzie już stół był do wieczery nakryty.

— Powiem po kolacyi, gdy Sewerka spać pójdzie... — myślała Krystyna, patrząc na siostrę z ogromnym współczuciem.

I choć się przymuszała, prawie nic przelknąć nie mogła, bo ją ciągle ten kurcz jakiś za gardło ścisnął. Ale półmiski oddawna sprzątnięto, i Sewerka zasnęła, a ona badawczy wzrok Sabiny czując, mieszała się, bładła i milczała.

I tak je noc zaszła, a cicha była, jasna i gdy pokojówka zebrała nakrycia i ponsowym abażurem przysłoniło lampę, Sabina w otwartym oknie stanęła.

Po niebie bezchmurnem, jak wielkie białe ptaki, bijące się skrzydłami, przewalały się gromady obło-

ków, to otulając księżyc zwojami mgły srebrzystej, to płynąc w dal w szalonym, zawrotnym tempie, lub restapiając się, chłonąc wzajemnie.

Promienie księżycy przedzierały się przez drzew gęstwinę, pełzały po trawnikach, na liściach lub kwiatu kielichach zalśniły w kroplach rosy i snopem blasków srebrzystych obrzuciły pnące się po ścianach pałacu powoje i bluszcze.

— My dawniej, w mieście mieszkając, nie miałyśmy pojęcia o takich cudach — mówiła Sabina. — Pójdź bliżej, Krysiu, popatrz!

A gdy Krystyna usiadła przy oknie, ciągnęła dalej smutno:

— Wszystko i w nas i w koło nas się zmieniło... Człowiek nawet serca własnego nie znał... Dopiero doświadczenie i czas wielu rzeczy uczy. Kiedym szła za Sewera, to mi tylko o tytuł mężatki i nazwisko szlacheckie chodziło, a dziś mógłby być żebrakiem, i też poszłabym za nim, choćby na krańce świata...

Umilkła. Zawładnął ją czar tej nocy wiosennej, budząc bezdeń tęsknoty, pragnień niezaspokojonych, pogrzebanych marzeń.

Zapomniała o obecności Krystyny. Myślą była teraz w Dreźnie, tam, przy nim, siłą woli odpędzając od siebie wspomnienie tamtej kobiety, bo chciała posiadać go w tej godzinie marzenia dla siebie, tylko dla siebie.

— Co do mnie — odezwała się nagle Krystyna — nie potrafiłabym kochać człowieka takiego, jak Se-

wer. Odepchnięta, zapłacałabym mu wzgardą. I dla tego, zdaje mi się... radziłabym ci, gdy Sewer przyjedzie, okazać się obrażoną, obojętną... Sewer wkrótce podobno będzie w Pistulinie.

Nareszcie. Odetchnęła głęboko, pełnemi płucami wciągając powietrze. Ale jednocześnie Sabina przycisnęła jej ramię tak gwałtownie, że ledwo nie krzyknęła z bólu.

— Sewer przyjeżdża?—pytała pobladłemi usty. Sewer? Kiedy? Krysiu, mów, mów na Boga.

— Tak słyszałam. Pisał do Fiszla, aby mu się o kupców starał. Chce podobno Pistulin sprzedać.

— Aaa!—jęknęła.—I cóż dalej?

Drżała, całym ciałem i musiała wesprzeć się mocno o ramę okna, aby nie upaść.

— Nic nie wiem!... Stach przyszedł dziś z tą wiadomością, więc wybrałam się zaraz do ciebie.

— Poczciwa. I powiadasz, że przyjedzie! Krysiu, bój się Boga, jak ja to zniósę...

Rozplakała się... Radość, rozpacz zlały się w jedno uczucie, nad którym górowała trwoga. Zobaczysz go... Ale co potem?

Nazajutrz wczesnym rankiem odjeżdżała Krystyna. Pistulińska, pozornie uspokojona, stała w ganuku, Sewerka kręciła się koło matki, trzepocąc rączkami z wielkiej uciechy.

— Tatko psijedzie, tatko, psijedzie — szczebiołała i tu znów Krystyna musiała Sabinę podziwiać.

Miłość dziecka dla takiego ojca była wyłączną jej zasługą.

To też skoro Pistulin zniknął z jej oczu, odrobina nadziei budzić się zaczęła w jej sercu.

— Niepodobna, aby Sewer był już taki bardzo zły—pocieszała się.—Gdy zobaczy dziecko, takie dobre, kochające...

Tymczasem konie utartym gościńcem mknęły jak wicher i słońce ledwo ku południowi wybiegło, gdy Krystyna przejeżdżała roгатkę w Bąkach.

Przy szlabanie spostrzegła Dyrdyńskiego.

— Ach, ten niegodziwiec!—syknęła przez zęby i chciała udać, że go nie widzi, ale stary wyga poznał zaprzęg pistuliński i obces do powozu przystąpił.

Zestarzał się w ciągu tych lat kilku okropnie. Siwe, krzaczaste brwi nad nosem mu się zbiegły, skóra się ściągnęła w zmarszczki drobniutkie, kępka rzadkich, siwych włosów sterczała na lysej czaszce. Powieki drgały mu już teraz ustawicznie.

Wytarty surdut z dziurami na łokciach mówił o smutnej terażniejszości. Snać Bąkowianie zmądrzeli i usług p. Kleofasa nie potrzebowali.

— Witam, witam, zacną panią Kozuchowiczową!.. — mówił, szastając się przy drzwiczkach powozu.—Jak to się teraz pięknie szlacheckim ekwipażem jeździ. A żeby nie Dyrdyński... Co? Zapomniało się, zapomniało... Żeby też choć szafczynę jaką, choć

stoliczek swojej roboty, panie dobrodzieju, ot, pamięci starego się przypomnieć.

— Owszem. Są gotowe meble na składzie; może pan kupić—niechętnie odparła Krystyna.

Stary złośliwie okiem ku niej mrugnął.

— O, o! Zaraz kupię! Myślałem, że tak przez wdzięczność... Ale kto teraz o wdzięczności pamięta.

— Jeśli kto ma być za co wdzięcznym, to niech o tem pamięta — z gniewem już rzekła i zawołała na woźnicę, aby jechał.

Ale Dyrdyński nie ustępował. Z ukontentowaniem, które brzydką twarz jego chytrym jakimś wyrazem rozjaśniło, szepnął:

— Mam już kupca na Pistulin. P. Seweryn pisał: „Weź sobie, Kleofasku, porękawiczne, jakie chcesz, byleś mi tę dziurę sprzedał...” To rozumiem! Z nim interes robić dalibóg satysfakcja! I czy to oni się już naprawdę rozchodzą, co?

— Jedź!—krzyknęła Krystyna i konie ruszyły.

— Ale ci dopiekl... Widzisz! — cieszył się p. Kleofas. — Ile razy przyjdę do warsztatu, to mi tak ten osioł Kożuchowicz minuje, a ta sroka udaje, że mnie nie zna. Pani wielka, fiu! Głupiej szafczyny nie podarują, choć się im sama Kundusia przymawiała nieraz. Namówię Pistulińskiego, żeby się z tą swoją wroną rozwiódł. Szkoda chłopca, dla takiejj...

Powlókł się ku miastu.

W domu czekała Krystynę niespodzianka.

— Gościa mamy, ale jakiego! Zgadnij!—oznajmił uszczęśliwiony Kożuchowicz.

Nim zdążyła spytać, wytoczył się ku niej Sádzikiewicz.

Pierwszy to raz, odkiedy się pobrali, odwiedził córkę, bo i droga była daleka i stosunek, choć pozornie dobry, w gruncie rzeczy naprężony był i chłodny. Trudnoż było dziedzicowi Łaręcina solidaryzować się z rzemieślnikami.

— Ojciec, drogi, kochany ojciec!—wołała Krystyna, rzucając się na szyję staremu.

— Czy to być może? Kiedyż ojciec przyjechał? Żeby mi też było przez głowę przeszło...

— A no, zatęskniłem do Baków, panie kochajacy—śmiał się Sádzikiewicz.

— A może i do nas?—przymiliła się Krystyna.— Może dziadek chciał wnuka zobaczyć?

— To się wie. Korpus, panie kochający, taki silny parobek, jak mnie za rękę scapił, anim mógł wyrwać. Sewerka przecie starsza, a taka delikatna, że się człowiek dotknąć boi. Zwyczajnie pańskie, szlacheckie dziecko...

— Tak, tak! — potwierdził Kożuchowicz, mrużąc porozumiewawczo na żonę. Ale się nie obraził.

— Cóż tam mama? Jadwisia?—Mój Boże, jakaż ja rada! Kostek podobno chory, mizerny?

— Łotr! — mruknął Sádzikiewicz. — To jest, chciałem powiedzieć: wielki pan! Nic nie robi, pie-

niądze traci, panie kochający, jakby co najmniej baron, albo i hrabia.

Krystyna z westchnieniem do kuchni wybiegła. Zapomniała trochę o Sabinie, to znów ją trwoga o Kostka zdjęła.

— Jakże tam gospodarstwo ojcu idzie?—pytała potem, nakrywając stół do obiadu.

— Ot kłopotarstwo... — mruknął z niechęcią.— Ale to wy wcześniej jadacie. W Łaręcinie, panie kochający, po pańsku!

— Tylko że obiad taki skromny—kłopotala się Krystyna.—Żebym była przeczula...

— Zjemy, co Bóg da! Niechby tylko leguminka słodka była... Matka bo wieczne wojny o te leguminy zemną toczy. Korpus spreczny, aż strach! Gdyby nie Jadwisia, której znowu o Kacperowskiego chodzi, toby matka więcej jeszcze na żołądkach naszych skąpiła.

— A cóż Kacperowski? Jadwisia na takich Kacperowskich nie patrzyła dawniej—mówiła Krystyna, pachnący rosół z kury na talerze rozlewając.

— Ale teraz patrzy, jak kot na sperkę... — zaśmiał się stary, rad z konceptu. — Panieńskie latka ciężą, panie kochający, korpus radby sobie drugiego korpusa tego... A tam, powiadam wam, taka paskudna okolica, że kawalerów chętnych do żeniaczki niema.

— I ojciecby pozwolił?

Krystynie aż się źrenice rozszerzyły ze zdumienia.

— No, to jest... Juścić wolałbym obywatela z herbem, niżli takiego lyka, panie kochający. Ale jak ma dziewczyna na karku siedzieć i do męża pisać, niechby i Kacperowskiego sprobowała.

— Zapewne! Ale mi dziwno...

— A tobie źle za Kożuchowiczem, co? Takes się spasała, jakby cię na samych figach i rodzynkach tuczył.

Żartował, zającując rosół z francuskimi kluskami, i chwalił gospodarność Krystyny.

— I Jadwiga się teraz do gospodarstwa bierze—opowiadał.—I w ogrodzie i przy ulach i w oborze, wszędzie jej pełno. A potem wieczorem z Kacperowskim szepty, panie kochający: „Tu byłam, tam byłam... To zrobiłam...” no i nieraz już widziałem, jak ją tego pod stołem... Niech całuje. Pannę w rękę pocałować, to nie grzech, a czy pod stołem, czy na stole to wszystko jedno.

Kożuchowicz się śmiał.

— Ojcu humor zawsze dopisuje..

— A chciałbyś wiedzieć czemu? Ledwom pocziwe Bąki zobaczył i tutejszego powietrza lyknął, wnet jakby mi dziesiątek lat z karku zleciał.

Dalibóg! prawda! Człowiek się do tych śmieci starych przyzwyczaił, tu był sobie pan za swoje trzy grosze taki dobry, jak i każdy, a tam na tem dzieciwiewie patrzą na ciebie, jak na psa parszywego.

Sadzikiewicz, Sadzikiewicz!.. Dyabli im do Sadzikiewicza, ale że sobie gęby nami wycierają, to jest prawda!

— Lepiej było Bąków nie porzucać—odezwała się Krystyna.

— Może. A cóż Szulc? Jakże mu idzie? Niemiec kutwa, sporo grosza już zebrał, co?

— Gdzież tam! Nietęgo mu idzie...— rzekł Kożuchowicz. — Sielecki, ten na rogu, wie ojciec? — podrywa go. Zawsze co swój, to swój! Ale takiego odbytu, jak rodzice tu mieli, to już się chyba nikt nie doczeka.

— Co mówisz! A no dobrze, dobrze!

I powiadasz, że sobie Szulc urzeka? Co? Niekontent?..

— Tak słyszałem. Był tu kiedyś Gargulewski i opowiadał. — Niemiec bestya—mówi—na wieprzowinie znać się powinien, a jednakże kielbas takich, jak u Sadzikiewiczów bywały, na lekarstwo nie znaleźć w Bąkach.

— Tak powiedział? A niechże go najjaśniejsze, panie kochający!.. Jak się to korpus zna.

Okropnie go to ucieszyło.

Po leguminie, której trzy części skonsumował sam, o Pistulin zapytał.

— Cóż, pan zięć zagranicą siedzi. He? I ani myśli wracać. Powiedźcie no, moi kochani, jak to tam z tym korpusem Sabcinym jest... Paskudnie to wygląda.

Kożuchowiczowie popatrzyli na siebie. Wreszcie Kożuchowicz, który do tajemnic wszelkich wstręt czuł, odezwał się wprost:

— Ten szubrawiec wraca, proszę ojca, ale wraca po to, aby Pistulin sprzedać.

— Co?!

Stary się od stołu zerwał i wyprostował, jak struna.

— Pistulin sprzedać! I co potem, i co?

— A nic. Pieniądze wziąć i zagranicę hajda!—mówił zirytowany Kożuchowicz.

— To trzeba być lotrem. Wieś posagiem żony oczyścić, ład zaprowadzić, a potem żydowi lub komu oddać. Fiszel, słyszę, już tam bogatego jakiegoś kupca ma

— Święci Pańscy! A to gałgan! A to huncwot, utracysz! A ja mu tyle pieniędzy dałem ciepłą ręką, panie kochający, i zaufałem, a ten teraz, krwawicę moją po świecie rozwłóczy. Ale jak Pana Boga kocham, nie pozwolę. No! nie pozwolę i kwita.

— Cóż ojciec robi. Jak bez zastrzeżeń dane niezahypotekowane, to nikt nie ma prawa...

Stary zzieleniał.

— Prawda. Ślachcic—myślę—koligat i herby ma, gdzie go tam będą prawem jakimś opisywał. Bierz Michale, co ci Pan Bóg daje, i już. A tymczasem korpus po świńsku panie kochający sobie począł, nie po ślachecku. A Sabcia mu też na wszystko pozwala. Matka nieraz mówiła, że Sabina, panie

kochający, rozlelała się tak za tym Sewerem, że aż mdli.

Krystyna wzruszyła ramionami.

— Sewer Sabiny nie słuchałby. On o nią nie dba, ani o dziecko. Separacyi chce. Wziąłby rozwód z chęcią, ale wie, że mu nie dadzą.

— Olaboga, olaboga! — narzekał Sadzikiewicz, dłońmi ściskając czoło. — Sodoma, Gemora! A tom się pociechy z pana zięcia doczekał. A to ślachcie psiawiara, to herbownik. Na grzbiecie mu jego herby kijem wypiszę, żeby on śmiał dziecko moje tak krzywdzić.

Struła go ta wiadomość.

Wieczorem, zasłyszawszy o przyjeździe Sadzikiewicza, — zjawił się Mordalski.

— Cości kiepsko pan dziedzic wygląda — odezwał się po przywitaniu. — Brzuchala był na całe Bąki, a teraz się wyciągnął, jak panna w tańcu. Cóż, dziedzictwo dokuczyle? A może zięciaszek, co to go hrabina rodziła? Oj te hrabiny, te hrabiny, żeby też takich kpów z przeproszeniem świata dawać. Szkoda czasu i atlasu...

— Już coś wiesz... mruknął Sadzikiewicz.

— Juści, że wiem. Dyrdyński list mi pokazywał. Oj, wygarbowałbym ja ci też to tę skórkę szlachę, ażby wióry leciały.

— I co ty radzisz, mój Józefie?

— A cóż tu radzić? Nawarzyłeś piwa swoją ła-

twowiernością i ta biedna Pistulińska musi je nawet z drożdżami wypić.

— Mój Boże, mój Boże! Więc to już wszystkim wiadome — biadała Krystyna. — Biedna Sabina!

Łzy miała w głosie i w oczach, więc Kozuchowicz wnet się do niej przysunął i szeptał coś tkliwie. Mordalski mrugnął ku nim figlarnie.

— Bój się Boga, pani Krystyno, trzymaj mocno Staścha. On też czuje skłonność do zmiany. Widziałem, jak na Gargulewską zezował.

Wszyscy się reześmieli.

— To Gargulewska jeszcze siedzi? — spytał Sadzikiewicz. — No, no, leciwa!

— Siedzi — odparła Krystyna i pogroziła mężowi.

A Mordalski rad, że dokuczy Sadzikiewiczowi za jego dawną pychę rzekł — pół głosem, by tamci nie słyszeli:

— Tego hrabina nie rodziła i herbów niema, a ucziwy mąż i ojciec i obywatel. Prawda?

Poklepał starego po plecach, a potem długo jeszcze radzili, z jakiejby tu beczki z Pistulińskim zacząć, by go do wspólnego pożycia z żoną i do zatrzymania Pistulina nakłonić.

Gdy w kamienicze Kozuchowiczów wszystko uciechło i Sadzikiewicz w wygodnie zasłanem łóżku wyciągnął się po podróży, sen, zamiast skleić zmęczone powieki, uciekał od niego.

Więc leżał i myślał. Może nigdy ociężyły jego

umysł nie pracował tak, jak obecnie. Jedna myśl wypychała drugą.

Od kiedy stanął w Bąkach, owionęło go inne, zdrowsze jakieś technienie, niżli tam, w Łaręcinie, kędy i borek przecie blisko szumi, i łąki pachną i wiatr niesie od pól ożywcze pędy.

Przeszłość pochwyliła go wspomnieniami, przypomniała niekłopotliwe życie w Bąkach, wśród tylu drobnych uciech, o których teraz w Łaręcinie ani myśleć można.

I gdy wieczorem dziś zaszedł do Szulca, to mu się tak miękko w koło serca zrobiło, jakby je kto wata owinął.

W kamienicy, choć wielu lokatorów zmieniło się, ale ci, co zostali, witali go tak jakoś od serca, aż mu się łzy pod powieką zakręciły.

I dalej że mu się skarżyć:

— Niemiec żadnej reparacyi nie robi, we wszystkim skąpi, a o komorne dusi. Panu—bywało—pokazało się czy piec dymiący, czy drzwi źle dopasowane, to pan zaraz robotnika przysłał i sam obejrzał; a to pludrzysko aby tylko co powiedzieć, to tylko umie: *Ich weiss nicht, ich vestehe nicht*, — tyle z niego pociechy.

Rozczuliło to ogromnie Sadzikiewicza, a gdy jeszcze Gargulewski i kilku innych obywateli miasta zaciągnęli go do Fiszla i zdrowie jego pili, to już tak się roztkliwił, że myśl opuszczenia Bąków łzy mu do oczu napędzała.

I teraz, leżąc bezsennie, o tem właśnie myślał i o Łaręcinie, który mu się kulą u nogi wydawał.

— Pocom ja tam wlaź, pocom, ja tam wlaź!..— powtarzał. Na biedę, na kłopoty! Kapitał utopiłem.. Pałacu ani budynków nie ugryzę, a ziemia pod psem. Niechby się Kożuchowicz o posag upomniał, albo Jadwiga zamaż szła, zkad jabym pieniędzy wziął..

Przewracał się z boku na bok, jęczał, wzdychał i zasnąć nie mógł.

Ledwo pierwszy brzask w okna zajrzał, zerwał się z pościeli.

Od rogatki ciągnęły zwolna wozy z drzewem, sianem, warzywami, bo to był czwartek, dzień targowy.

Sadzikiewicz fajkę zapalił i przy oknie siadł.

Cicha dotąd ulica budziła się zwolna i ożywiła coraz bardziej.

Baby z nabiałem, z opalkami jaj, ciągnęły ku rynkowi; kwiliły kurczęta młode w kojcach jadące na wozie, zakwiczał prosiak, lub spętane bez litości cielę uderzyło łbem zwieszonym o deski wozu. Potem chmura pyłu uniosła się ku górze, i Sadzikiewicz ujrzał z powagą środkiem ulicy kroczące stado świń tłustych, biało-różowych, ze szczecinią tak delikatną, jakby je kto grzebieniem wyczesał.

— Ślicznie korpusy utrzymane—rzekł do siebie zadowolony, ale zaraz go zazdrość ukłuła.

— Bestye pludry, co to pieniędzy wezmą; ale pa-

nie kochający, jest za co. Ja się znam... Korpusy skórę mają różowawą i węgry ani jednego.

Wychylił się z okna:

— A z kąd to?

— Z pod Wieruszowa.

— A daleko? Może tylko do Bąków, co?

— Daleko. Ale nie wszystkie. 12 sztuk u Szulca ostawiamy. Kupił.

Sadzikiewicz głową kiwnął i westchnął. Wyobraził sobie cały proces zgładzenia ze świata wieprzów owych, delektował się w myśli soczystymi szynkami, kielbasami, polędwicą, czuł,—zda się—zapach wieprzowiny do którego tęsknił, chociaż się do tego nie przyznawał.

— Kopiejka trzy kopiejki rodzi czystego zysku—obliczał w myśli—i ten bestya Szulca jeszcze narzeka. A tu tymczasem, chcesz pieniądze zrobić, bierz się panie kochający, za sadły. To nie to co psia noga gospodarka. Kładź i kładź, a ona ci się zawsze ogonem wykręci.

Do pokoju weszła Krystyna z dzieckiem.

— Walenty mi mówił, że ojciec już dawno nie śpi—odezwała się, całując rękę ojca.—Ale i my przecie ranne ptaki, bo Stefek zasnąć nie pozwoli.

— Niechże ojciec będzie łaskaw na kawę. Nie łaręcińska, to pewno, bo my tu śmietanki takiej nie mamy.

— Co tam, łaręcińska! — burknął, wydymając

wargę.— Ty myślisz, że Łaręcin to co! . Obrzydliwy korpus i tyle!

Krystyna się zadziwiła, ale milczała.

Dopiero, gdy się już wszyscy przy śniadaniu zebrali, podmówiony przez nią Kożuchowicz rzekł:

— Gdyby tak na mnie, tobym zaraz Łaręcin sprzedał. Coś mniejszego gdzie pod miastem wziąć, byłby i kłopot mniejszy i ekspens...

A Sadzikiewicz bez namysłu odparł:

— To bierz. Niema głupich. Ot, sklep bym od Szulca z powrotem wziął, rozumiesz?

Kożuchowiczowie sporzeli po sobie.

Ojciec tylko żartuje — odezwała się Krystyna, ale aż się zaczerwieniła z radości.

— Co to żartuje?—Wcale nie żartuję, panie kochający.

Ukrajął kawał świeżego placzka z posypką i uszczypnął Stefka w różowy policzek.

— Cóż, bąku? Chciałbyś, żeby tu dziadek mieszkał, co? Dopierożbyś się na serdelasach upasł... He?

Krystyna pocałowała ojca w rękę. Oczy jej się śmiały i taką promienną twarz miała, że Kożuchowicz żartobliwie pogroził jej za plecami ojca.

Wyszedł jednak na ganek, gdy stary wybrał się do miasta, i z wielką uciechą wpadł potem do żony, mówiąc:

— Do Szulca poszedł. Dałby Bóg!

To byłoby jedyne wyjście... Co stracili na Łaręcinie, toby sklep w kilka lat oddał.

Parę dni jeszcze zabawił Sadzikiewicz w Bąkach. O planach na przyszłość nie mówił wprawdzie, ale przy pożegnaniu rzekł do Krystyny:

— No, Kryśka! Proś Boga, żebym kupca na Łaręcin znalazł.

VII.

Ostatnie liście z drzew opadły. Pierwszy przy-
mrozek ściął wodę w stawach, zwarzył anemiczną
trawę, odarł ziemię ze wszelkich powabów.

Wrony i kawki, jak ciemne chmury, zasfaniały
blade słońce jesienne, wzbijając się w górę, bydło
wypuszczone na ugory błędziło beczynnianie z senty-
mentalnie pospuszczanymi łbami, stada żórawi i gęsi
dzikich przeciągały długim, wyciągniętym sznurem.

Na tem tle szarem odcinał się, jak plama biała,
pałacyk w Pistulinie, do którego dążyła teraz Sabina
w kaftan ciepły i chustkę odziana.

W piwnicach układano na zimę warzywa, w sto-
dołach młócono owies. I tu i tam, jak wszędzie zre-
szta, dojrzeć musiała sama, bo od czterech lat blisko

nie miała rządcy, obowiązki jego na barkach swoich
dźwigając.

Pistulin poszarpany przez Sewera, ogołocony
z czego się dało, dyszał ledwo podpierany li umięję,
tnością gospodarowania Sabiny i nadwyzczajnymi
nadludzkimi jej wysiłkami.

Myśl o pozbyciu się Pistulina przed pięcioma
laty wywietrzała z głowy Pistulińskiemu dzięki pannie
Minie Libretz, która zawiązawszy czuły stosunek
ze śpiewakiem opery w Dreźnie, powstrzymała Sewe-
ra od zamierzonej do kraju podróży.

Przyjechał więc tylko upoważniony do działa-
nia Kuropatnicki.

Hulaka, lekkoduch posiadał jednach trochę
uczuć ludzkich w piersi i, zmięczony prośbami Sabin-
y, Pistulina nie sprzedał.

Co więcej, stał się gorliwym jej sprzymierzeń-
cem, powtarzając sobie po wielekroć, że niejedna
szlachetnie urodzona dama taktu i wszelkich cnót in-
nych od Sabiny nauczyłoby się mogła.

Po wspólnej więc naradzie postanowiono to mor-
gów lasu sprzedać i tem Sewera zaspokoić.

Kuropatnicki, zabrawszy pieniądze, wyjechał,
a Pistulińska do jarzma się zaprzęga.

A było to jarzmo nielada! O wszystko, wal-
czyć, ze wszystkimi kłócić się trzeba było.

Próżnowała służba, nie czując nad sobą pana,
próżnował w polu najemnik, bo go nikt nie pilnował.

Rządca, jak dawniej, płoty grodził, ulepszał, poprawiał i o pieniądze wojny z dziedziczką toczył.

Po roku takiej męczącej gospodarki Pistulińska oddaliła rządce. I tak trudno było koniec z końcem związać i wszelkie możliwe oszczędności okazały się niezbędnymi. Za rządca tedy poszedł ogrodnik, za ogrodnikiem stangret do koni eugowych, których się choć z żalem pozbyła, jako rzeczy zbytkownej, a na teraz zbytecznej.

Sewer, rywalizując ze śpiewakiem o względy panny Miny, raz poraz o pieniądze pisał, dopiero, gdy dnia pewnego zrzeczna Niemka ze śpiewakiem ślub wzięła, Sewer, klnąc na czem świat stoi, zrobił jej awanturę w kościele, poczem wpadł prosto na dworzec kolejowy i do Pistulina umknął.

Był też i niezdrów trochę, bo życie hulaszce wyczerpało go; podziałało więc ożywczo na niego powietrze Pistulina i niezmordowana tróskliwość żony.

O separacji już nie wspominał, zwierając się Dyrdyńskiemu, — że czy ta — czy owa, to już wszystko jedno, bo wszystkie „jędze i zwodnice“...

O ustatkowaniu, o poważniejszym na życie poglądzie trudno już było marzyć. Nie znał wyrazu. obowiązek, — jak nie znał hamulca, któryby koniec namiętnościom jego położył.

— Uważasz, — powiedział żonie po powrocie — jeśli chcesz, żebym nie prysnął od ciebie, gdzie pieprz rośnie, uwag mi żadnych nie czyni nigdy, rozumiesz?

Pieniędzy ci trochę puściłem, to racya, alem ci za to nazwiskiem i pozycją zapłacił. Prawda?

Nie zaprzeczała i nie rozgniewała się. Patrząc na jego twarz wychudłą i przygarbione plecy, uczuła litość, jak matka nad chorem dzieckiem. Określiła też sobie odrazu plan postępowania.

Trzeba ratować Sewera i dziecko. Żadne inne osobiste jej pragnienia w rachubę wchodzić nie mogą. Dość dla niej szczęścia, że wrócił, że Sewerka ma ojca, i że on już jej od siebie nie odpycha.

Od tej rozmowy lat pięć minęło. Co w ciągu tego czasu Sabina wycierpiała, nie wiedział nikt prócz Krystyny, która, nie pytając, pocziwem sercem wszystko odgadła.

Ślady jednakże wryły się na twarzy zwiędłej od wiatru i słońca ogorzalej, popękanej od mrozu. Wypieszczone niegdyś ręce dowodziły, iż właścicielka żadnej się pracy nie lęka. Nie miała też czasu dbać o powierzchowność swoją, ani nad położeniem swoim rozmyślać, ale — jak mówiła do Krystyny, uśmiechając się blade, może to i lepiej..

Idąc teraz ku domowi z posiniałą od zimna twarzą, z mokremi pasmami włosów przylegającymi do czoła, pokrajanego w zmarszczki drobniutkie, rozmyślała, iż trzeba będzie po obiedzie posłać do lasu po liście na podściółkę dla bydła, kucharce czeladniej kazać jeszcze z parą beczek kapusty dokwasić, a ju
W mieszc. gnieździe. II Tygod. bezp. dod. do „Gazety Polskiej.“ 10

tro samej jechać do powiatu z prośbą do naczelnika, aby parę tygodni jeszcze z egzekucją się wstrzymał, bo na jarmarku w przyszły wtorek sprzedawszy dwie jałówki i parę wołów, dopiero będzie mogła podatek zapłacić.

Oczy jej smutne, jak ten dzień jesienny, biegały wokoło niespokojnie, z tą czujną energią, która się wyrabia w istotach, dźwigających na barkach ciężar nad siły.

W pałacu, mimo że południe było blisko, okienice w pokoju gościnnym i w sypialni Pistulińskiego były jeszcze zamknięte. Po wczorajszem polowaniu, które Sewer u siebie urządzał, goście wraz z gospodarzem odpoczywali.

Sabina okrążyła główne wejście i tylnymi drzwiami weszła do domu.

W pierwszym zaraz stołowym pokoju kręciła się Sewerka, przyrządzając do śniadania z zadziwiającą nad wiek zręcznością.

Niezbyt ładna, ale sympatyczna nad wyraz jej twarzyczka, uderzała wyrazem skupionej powagi i inteligencji.

— Niech Katarzyna ułoży pięknie masło—rzekła do służącej.—Trzeba na wierzchu taką różyczkę zrobić, albo tulipan. Czy Katarzyna widziała, jak mamusia to robi? A gdzie Katarzyna położyła klu-cze od śpiżarni?

I to dziewięcioletnie dziewczątko pamiętało o wszystkim i wydawało rozkazy, jak dorosła osoba.

Jak słońce, gdy rozedrze ciemnych chmur gromadę i uśmiechnie się ziemi, tak smętna twarzyczka Sewerki rozpogodziła się i zajaśniała uśmiechem, gdy ujrzała wchodzącą do pokoju matkę.

— Niech Katarzyna przyniesie dla pani kawę, ale żeby gorąca była—zawołała odbierając z rąk matki chustkę i rękawiczki ciepłe.

Sabina usiadła przy stole, Sewerka przysunęła cukier i chleba bochenek.

— Niech Katarzyna postawi kawę i zajrzy do kuchni, czy się samowar gotuje—powiedziała do służącej, która kubek kawy gorącej stawiała właśnie przed panią.—Pan jeszcze nie dzwonił, ale może zaraz zadzwonić, prawda, mamusiu?

Ledwo słów tych domówiła, gdzieś z wnętrza domu dźwięk dzwonka się rozległ. Raz, drugi, trzeci... snadź niecierpliwą szarpany ręką.

Sewerka drgnęła. Oczy, które wlepiła w matkę, błysnęły ogniem i przy bladej twarzyczce wydawały się teraz bardzo ciemne i bardzo posępne.

Sabina odsunęła kubek.

— Zasyp herbatę, córeczko—rzekła do córki,—jak tylko Katarzyna przyniesie samowar.

— Czy mama pójdzie do tatki?

W głosie dziecka dźwięczała trwoźna nuta.

Sewer zbyt często tyranizował żonę wobec wszystkich, a choć matka wpajała w serce dziecka miłość dla ojca, poważna Sewerka wyrobiła już sobie na tę kwestyę zdanie i pogląd czysto osobisty.

W pokoju Sewera mrok panował.

Sabina podeszła do okna i popchnęła okienicę.

— A, jesteś! — mruknął zaspany Sewer. — Snujesz się zawsze, jak cień... Nie na ciebie dzwoniłem.

— Katarzynę posłałam do kuchni po samowar — odparła łagodnie — Czy chciałeś czego?

— Herbaty! Oczywiście poczekam z godzinę, jak zwykle.

Milcząc, zawróciła ku drzwiom.

— Dlaczego niema papierosów? — wstrzymał ją gniewny głos męża. — Położyłem je na stole; aleś tu już plądrowała z pewnością i dyabli je wzięli.

— Oto są... — wyrzekła spokojnie. — Były na stole, tam, gdzieś je położył.

Mruknął coś pod nosem, przeciągnął się, ziewnął.

— Czemuś mnie nie obudziła, toż widzę południe blisko. Wiedziałaś przecie, że miał jechać do Bąków po wino Ciekawym, czem dzisiaj gości przyjmiesz.

— Czyż koniecznie winem? Są nalewki, jest piwo... Przecież to nie festyn żaden...

— A tobie się festynu zachciało? O, zaraz! Miałbym się nawet z czem pochwalić...

— Nie kończ. Wiem już.

Blada była i w oczach żarzył się ogień, ale głos był spokojny i spokojem tym zaimponowała mu.

Znów ziewnął i zapalił papieros.

— Żeby was najjaśniejsze z takim porządkiem... Butów, widzę, niema. Ze skóry tego huncwota Walka obedrę... — zaczął po chwili.

— Sewer... szepnęła, drzwi do sąsiedniego pokoju wskazując, — posłysz.

— Pal ich dyabli! Na to uszy mają. Powiedz im, jak wstaną, że m słyszał w Wierzbowskim lesie tokujące głuszce. Wierzbowski pozwolenie dał; mogą polować.

— A ty?

— Ja do Bąków jadę. Cóż się gapisz? Peślij do stajni, niech Walek konie zakłada. Wstaję zaraz i jadę.

— Ale cóż ja tu z twoimi gośćmi zrobię? — spytała zafrasowana.

— Flirtuj, bałamuć ich... — zaśmiał się rubasznie. — Wiesz przecie, że nie jestem zazdrosny.

— Zresztą ani jednej pary koni niema teraz w stajni. Dwie fornalki odstawiły zboże Lejzorowi, jedna nasze do młyna zawiozła, pod lasem obredlają ziemię pod owies... — mówiła Sabina.

— Dostyć, dostyć! Świętemu byś życie obrzydziła tą litanią. Moja kochana, idź już sobie, niech ja na ciebie nie patrzę. Konie wysłałaś naumyślnie, boś się bała, abym do Bąków nie pojechał.

— Nie wiedziałam przecie...

— No, no! Ja cię znam. Ty wszystko wiesz, wszystko przeczujesz, skoro o dokuczenie mężowi

chodzi. Poślijże po konie na pole, bo ja w Bąkach muszę być dzisiaj.

— Pośle zaraz—odparła, wychodząc.

Za drzwiami odetchnęła głęboko. Łzy ją dusiły w gardle i taka bezsilna rozpacza.

Za co on jej tak dokucza? Patrzy przecie na wszystko przez szpary, nigdy wyrzutów nie czyni...

Wie przecie, po co on jedzie do Bąków. Zako chał się znowu na zabój w siostrzenicy proboszcza, która po śmierci męża na utrapienie jej zjechała do Bąków.

Proboszcz oczywiście nie domyślał się niczego. Wdówka znudzona jednostajnością cichego życia w miasteczku, flirtowała z Pistulińskim, po za plecami staruszka.

Że jednak sprzeciwiać się Sewerowi w niczem nie można było, Sabina, przywdziawszy na twarz codzienną maskę spokoju, wyprawiła Kaśkę do ogrodu, aby chłopaka obwijającego słomą drzewa posłała po konie. W parę godzin potem, z twarzą upieczoną od ognia, smarzyła w kuchui naleśniki.

Zmęczona była i niezdrowa. Ból głowy dokuczał jej od rana, a nie miała chwili swobodnej, by odpocząć.

Sewer o ile był w domu, sprowadzał jej gości. Towarzysze polowań, kart i kieliszka siedzieli u niego po dni kilka, co było dla Sabiny męczarnią.

Nie mając odpowiedniej służby, zajmowała się

wszystkiem sama, oszczędzała, zabiegała, bo Sewer wymagał, aby wszystko było, jak należy.

Zły stan interesów nie pozwalał jej przyjąć bonny, lub guwernantki; więc i dzieckiem zajmowała się sama, szczupły zakres swoich wiadomości Sewerce przekazując. Czowała jednak, o ile to było niedostateczne, i rozpaczała.

Sewerka, nakładając farszem z mięsa naleśniki, rzucała z pod oka spojrzenia na matkę. Byłaby się upierała, że widzi łzy w oczach matczynych, i że to nie ogień takie iskry w nich rozpala.

Sabina tymczasem zsuwała z patelni naleśnik jeden po drugim całkiem automatycznie,

Mysł jej była w Bąkach, w saloniku proboszcza, i Sabinę, choć powinna była oswoić się już z tem, że serce Sewera do niej nie należy, pożerała zazdrość.

Mąż, własność jej, ukochanie... bo mimo wszystko, kochała go zawsze jednakowo.

I kiedy inni mężowie mają gorsze przecie żony, niż ona jest, widzi, że żyją z niemi po bożemu, szanują, podczas gdy Sewer nie uważa ani na gości, ani na służbę, co gorsza, nie uważa na dziecko.

A ona to dziecko kocha ogromnie. Może niezrazby sarknęła, powiedziała Sewerowi kilka słów prawdy, ale trwoga zamyka jej usta. Niech już się, co chce, dzieje, byle Sewerowi nie przyszła znów ochota porzucić ją...

Po przykrym dniu czekała ją przykrzejsza jeszcze wieczorem niespodzianka. Sewer wrócił późno

i, nim do kart zasiedli, zawołał ją do siebie. Trochę był nieswój, jakby pomieszany.

Na stoliku leżała róża i parę listków zielonych, obok papierośnicy i rozrzuconej niedbale bielizny.

Cierpki uśmiech wykrzywił usta Sabiny, bo dostrzegła nawet i to, że gdy weszła, Sewer pośpiesznie coś do biurka schował. Domyśliła się, że fotografię.

— Moja kochana — zaczął, paląc cygaro i całą uwagę niby poświęcając misternym kuleczkom dymu — wypadł mi nagły interes do Warszawy. Będzie potrzebował oczywiście pieniędzy... Dużo nie dużo, ale zawsze jakieś parę setek... W drodze niewiadomo, co wypaść może.

Ręka Sabiny opadła ciężko na poręcz krzesła. Poruszyła wargami, ale nie dobył się dźwięk żaden z krtani mocno ściśniętej.

Jej mówić teraz o paru setkach, kiedy na opłacenie podatków woły musi sprzedawać. Wiedziała zresztą, boć łatwo tego domyśleć się było, skąd ta nagła propozycja wypadła. Pod okiem proboszcza grzeszyć, trudno jakoś było i nie wypada...

Sewer patrzył na nią z pod oka.

Była tak zmieniona, i taka rozpacz malowała się w jej oczach, że zdjął go żal chwilowy.

— Cóżes tak zaniemiała? — spytał i wyciągnął ku niej rękę, chcąc ją przy sobie na sofie posadzić.

Innym razem ta drobna oznaka serdeczności z jego strony, byłaby ją wzruszyła; ale dziś Sabina

miała jeden z tych ciężkich dni, co to człowiek radby się tylko do ziemi szarej przytulić. przestać myśleć... czuć...

— Nie wiem, skąd ja ci pieniędzy wezmę—odezwała się wreszcie, zwolna, automatycznym ruchem przesuując ręką po czole. — Chciałam jutro jechać do powiatu, bo się komornika lękam. Tyle potrzeb zresztą zjawia się co godzina nieledwie...

Zapatrzyła się w okno, w ciemną, pochmurną, jak jej dusza, noc listopadową i zamilkła.

Może nawet zapomniała, że Sewer jest obok niej, że na nią patrzy... Ale on nie patrzył. Cóż go obchodzić mogła ta blada, smutna kobieta, wobec rozkwitłej, jak kwiat róży, zalotnej wdówki? Obiecywał sobie bezdeń rozkoszy, gdy się znajdą oboje w Warszawie, tej miłej Warszawce, gdzie na każdym kroku tysiące rozrywek mieć można.

I dla czego ma on sobie tego odmawiać? Dla czego? Nie ożenił się przecie z miłości, o tem wie każdy; więc gruchać z żoną nie będzie; a co do pieniędzy... Głupstwo! Sabina zawsze była skąpa; nie dziwnego, że i teraz mu żałuje. On zresztą jechać musi. Przyrzekł.

— Chciałbym mieć pieniądze jutro przed wieczorem, by na ranny pociąg dostacyi zdążyć—odezwał się po chwili. — Skoro powiadasz, że pieniędzy nie masz, weź od ojca. Oni tam, słyszę, na tym swoim sadle znów geszefty robią. Sklep dobrze idzie.

Spojrzała na niego prawie z oburzeniem.

— Czy myślisz, żem już mało wzięła? Któż zapłacił ratę Towarzystwa w kwietniu, kto na żniwa dał?... Ojciec, prawda? Ale z czyich pieniędzy? Z Koźuchowiczowej, prawda? Bo przecie, gdyby nie ta Krysia poczciwa, ojciecby nie mógł w jedno dziecko wszystkiego pechać z uszczerbkiem innych.

Słowa padały z jej ust szybko, i ręka oparta na poręczu krzesła drżała.

Sewer się rezeźmiał.

— A toś się zaindyczyła! No, no! Ale zapomniałaś o jednym: taki Koźuchowicz za zaszczyt powinien sobie uważać, że nam dogodność robi. Sam się sobie dziwię, jakim ja dobry, że ci pozwalam stosunki z nimi utrzymywać.

Ja gniew już ominął. Popatrzała na niego oczami w których cała umęczona jej dusza się mąlała, i szepnęła:

— Oj Sewer, Sewer!

Po chwili wyszła.

W szufladzie biurka spoczywało kilka banknotów skrętnie na podatek zbieranych.

Żyzy niczem już nie powstrzymywane płynęły obficie po jej twarzy, gdy jeden sturublowy i dwa dziesięciurublowe dobywała z pugilaresu.

Poczem wsunęła się cicho do pokoju męża i, kładąc je na stole, szepnęła:

— Bóg widzi, nie mogę więcej...

I wyszła, nie patrząc już na niego.

W kilka dni potem pani Kacperowska do Bąków do rodziców w odwiedzinny jadąc, wstąpiła do siostry.

Kacperowski, od lat trzech szczęśliwy małżonek p. Jadwigi Sadzikiewiczówny, zarządzał majątkością bardzo bogatego obywatela, który z żoną chorą za granicą siedział.

Posada to była, jak się Sadzikiewicz wyrażał: „Tylko jej buzi dać...“ Jadwiga miała i konie do wyjazdu i powóz, i do spiżarni, czego dusza zapragnęła.

Z tysiąca ośmiuset rubli, jakie pobierał Koźuchowicz, dwie trzecie odkładali na „czarną godzinę“.

— Uparłam się, jak nigdy! — opowiadała Sabinie wystrojona, jak lalka, pani Jadwiga, gdy już powitania minęły. — Wyobraź sobie, za nic Janek nie chciał mnie puścić. A to droga ciężka, a to to, a to owo...

— Może miał słuszność? — uśmiechnęła się znacząco Sabina.

— Ale gdzież tam! Straciłam już nadzieję. A tu jak na złość Janek za dziećmi przepada. Żybyś ty widziała, jak te brudasy wiejskie biegają za nim, skoro się na wsi pokaże... A on gładzi rozczochrane czupryny, albo malca jakiego w górę podrzuci, a śmiechu przytem co niemiara.

Uśmiechnęła się. Przypomniała sobie chwilę pożegnania, i dziwna błogość przeniknęła jej serce.

I zaczęła zaraz opowiadać Sabinie, jak czule pożegnali się rano, a potem, gdy pojawił z zabudowań

dworskich na trakt wyjeżdżał, on dopadł go, pędząc z pola i ledwo oddychając od szybkiego biegu.

— Niech Mateusz jedzie na Żabików, będzie wygodniej. Na tej grobli pod Osinkiem kości policzyć można—mówił, ledwo ziając, a pot kroplami—powiadam ci, Sabciu po twarzy mu spływał. I po co było lecieć, kiedyśmy i tak na Żabików jechać mieli!

— Poczciwy!—szepnęła z uczuciem Sabina.

— Ba!—roześmiała się pani Jadwiga. — Kiedy z tego rezultat taki, że ja, nie dojechawszy jeszcze do celu podróży, chciałabym wracać.. Gdzież Sewer? — spytała po chwili, i cień padł na jej twarz pogodną.

— Pojechał do Warszawy — odparła, spuszcza-
jąc oczy, Sabina.

— Znowu?

— Interesy...

— A! Wszyscy się już śmieją z tych interesów. Doprawdy, Sewer jest niegodziwy! Niechby hulął za swoje, ale tracić pieniądze żony... Pfe!

— Co moje, to i jego... — smutno szepnęła Sabina.

— Ale ty się zamęczasz, zabijasz... Zestarzałaś się, szcerniałaś... Moja Sabciu, moja kochana popatrz ty na mnie... Przecież ja tylko o rok od ciebie młodsza. A wiesz, ile mi lat rachują? Dwadzieścia pięć — sześć najwyżej. Jak Janka kocham, tak prawdę mówię!

— Wierzę. Nie pamiętam ciebie nigdy panną tak ładną, jak teraz.

— A widzisz. Ale trzeba dbać o siebie, trzeba się oszczędzać i męża ostro trzymać. Z jakiejże racyi jedna strona ma używać, jeździć, szaleć, a druga dreptać od rana do nocy, jak koń w deptaku, kłopotać się i odmawiać sobie wszystkiego.

— Taki już podział... — uśmiechnęła się smutno Sabina.

— Głupi! Szalony, niesprawiedliwy!—oburzona wołała Jadwiga.—I głupie te, co się na niego godzą! Daruj mi, moja złota, ale ja nie mogę patrzeć, jak ty marnie wyglądasz, jak się trujesz, gryziesz i dla kogo? Dla jednego takiego to...

— Nie kończ, nie kończ! — przerwała z ogniem w oczach Sabina.—Ja go kocham! To ojciec dziecka mego... Mego dziecka!... — powtórzyła, łkając,—mego skarbu, mojej radości, najdroższej istoty, dla której tysiące mąk ponieść jestem gotowa, przebaczyć mu wszystko, o sobie zapomnieć! Bóg dobry, i ta mrówcza moja praca może je uchroni od nędzy, może Sewer z czasem, z latami ustatkuje się i wtedy dumna i szczęśliwa oddam mu Pistulin czysty, dobrze zagospodarowany — i odpocznę!

Przy ostatnim wyrazie błogie uczucie rozjaśniło jej rysy.

— Powiem ci w sekrecie, Jadwisiu, że choć nie

czuję się zbyt ciężką, to jednakże wyraz:
„odpoczynek“ — ma dla mnie bardzo miłe brzmienie.
To musi być wielka rozkosz powiedzieć sobie: zrobi-
łam, co zrobić miałam, i — odpocznę!

K O Ń I Ę C .



~~65209~~

71620/1-2

lelocek